



N^o 381.

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 12 stycznia 1867 r.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:
Rocznie rs. 12, półrocznie rs. 6, kwartalnie rs. 3.
Koperta oddzielna rs. 2 rocznie.

TOM XV.

TREŚĆ NUMERU. Ksawery Godebski (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Odezwa do redaktora. — Przegląd polityki zagranicznej. — Sprostowanie. — Miasto Grójec (z 3 drzeworytami). — Teatr w wyobraźni tych co go nie znają (9 drzeworytów). — Najnowsze odkrycia (dokończenie). — Koresp. Tygodn. Illustr. — Typy i postacie ludowe (drzeworyt). — Szachy. — Rebus. — Z Tyflisu pod Ararat (dalszy ciąg). — Gawędy ekonomiczne. — Wspomnienia z powiatu pińskiego (dokończenie). — Pięć pierwsza pacjentka. (Powieść). — Helena (Powieść).

Od redakcyi.

Ponieważ Prenumeratorowie opłacający Tygodnik Illustrowany w Warszawie za pośrednictwem kantorów, a na prowincyi zapisujący się na pocztach, nie są redakcyi wiadomi z nazwisk i zamieszkania, upraszamy przeto tych wszystkich, którzy dopiero od Nowego roku Tygodnik nasz zaprenumerowali, aby za pośrednictwem kantorów i poczt, lub wprost do redakcyi, piśmiennie lub osobiście zgłosić się raczyli po odebraniu początku powieści p. t. *Helena*.

Ksawery Godebski.

Po Karolu Szajnosze, który z powodu osłabionego wzroku zrzekł się około 1860 r. posady kustosa przy Bibliotece imienia Ossolińskich, objął tę posadę Ksawery Godebski, syn Cypryana, urodzony we Frankentalu nad Renem w r. 1801.

Obowiązki przyjęte we Lwowie snadniej mu było wypełniać, bo już nie potrzebował ślezczyć nad kończącą się korektą słownika Lindego, która ostatecznie zniszczyła wzrok Szajnosze. Został już skatalogowane zbiory książkowe, więc pozostało tylko prowadzić dalej dzieło zaczęte. Jakoż rozpoczął od opisu zbioru rycin i nowych nabytków, który uskutecznił z zamiłowaniem znawcy.

Szczupły jest poczet literatów we Lwowie, a garstka ich zmniejsza się z dniem każdym. Szereg strat rozpoczynają dwaj nierozłączni przyjaciele, ginący w pojedynkach w jednym tygodniu miesiąca stycznia 1861 r., choć oddaleni od siebie setką mil (B. Bielawski i W. Łoziński). Wymiierają Dzierzkowski, Wagilewicz, Pilat, lub nieszczęście utraty wzroku utrudnia działalność Szajnoszy, Pola, Supińskiego, a nawet czynnego w redaktorskim kierunku Karola Cieszewskiego powieściarza.

Czterdziestolecie niemal upływa, jak trwa działalność Godebskiego w różnych kierunkach piśmiennictwa. Już w r. 1820 umieszcza Konstanty Majeranowski, w Pszczółce wydawanej w Krakowie, drobnej korespondencye, zwykle ograniczające się na sprawozdaniach teatralnych, i w tymże roku należy z Hu-

bem, Zaborowskim i Lisieckim do redakcyi pisanego Dziennika akademickiego. Niebawem przystąpił do współredakcyi Gazety literackiej (1821—22), do wydawnictwa pisma Wanda (1820—22) i Warszawianina (1823) połączonego z Wandą.

Ówczesne pisma literackie ograniczały się na drobnych powiastkach, poezijkach i sprawozdaniach teatralnych; wszystkie były do siebie podobne i tylko o tyle wpływowe, o ile rozbudzały zamiłowanie własnej literatury; — ściśle naukowej zaś dążności nie

cznie teatrowi, nie mającemu wtedy odpowiedniego repertuaru oryginalnego, ani odpowiednich tłumaczy. Mnóstwo wówczas napisał lub przerobił komedyj, oper i tragedyj, które grywano na scenie warszawskiej. Jedną z nich, p. t. *Miłość i próżność*, rozebrano pochwalnie w Gazecie Polskiej 1828 r., podnosząc typ starosty, wdowca chełpiącego się szczęściem do kobiet.

Prócz tego napisał tragedye wierszem: *Tankred*, *Manfred* (obidwie drukowane w Rozmaitościach lwowskich r. 1855) i tamże drukowane komedye wierszem: (r. 1854) *Zapóźno* w 1 akcie (przerobioną z francuzkiego), *Oj! gdyby żony wiedziały* (przerobioną z francuzkiego). Komedia *Zapóźno* przedstawia młodzieńca spóźniającego się w najważniejszych chwilach życia. Druga komedia polega głównie na komice i powikłaniu. Treść sztuki atoli nie budująca.

Oprócz tego ułożył Godebski komedye: *Piast*, scena liryczna grana w Łazienkach; napisana wspólnie z L. Dmuszewskim, *Nowy rok*, napisana wspólnie z D. Lisieckim, *Miłości ulanckie*, *Karnawał w Łomży*, *Trzy upiory*, nadto komedyo-opery: *Maskarada domowa*, *Pan Notaryusz*, *Dziedziczka*, *Sieciech żonaty*, *Wilki na pokucie*, *Miłość i apetyt*, *Wdowa Malabaru*, *Dzieweczyna Kozak*, *Siostrunia*. Te dziewięć operetek napisał do muzyki Karola Kurpińskiego. *Wdowę Malabaru* grano w teatrze Rozmaitości.

Przekłady Godebskiego i przerobienia z francuzkiego trudno wszystkie wymienić, bo nie były drukowane. Spisuję je właśnie z powodu, iż nie są powszechności znane. Smutno pomyśleć, ile prac scenicznych ginie dlatego tylko, że ograniczają się na bibliotekach teatralnych, a nie są ogłaszane. Spisałem około tysiąca utworów scenicznych nigdzie nie drukowanych, a granych w Krakowie od r. 1800. Tyleż obejmuje repertuar sceny lwowskiej, spisany po części przez Jana N. Kamińskiego (rękopis w bibliotece Pawlikowskiego). Połowę tego naliczyć można w Warszawie, która pod tym względem wcale podrzędne zajmuje stanowisko.

Godebski tłumaczył: Ponsarda *Honor i pieniądze*; Delavigne'a *Popularność*. Bezimiennie: *Dawne czasy* (z muzyką Damsego); *Bywa kuglarz nad kuglarza*; *Kto pod kim dolki kopie, sam w nie wpada*; *Sen na jawie*; *Przyjaciół swatem*; *Nieporozumienie*; *Derwisz*; *Kunszt i rzemiosło*; *Testament* (grywany w Warszawie); *Klatka* (z muzyką Damsego).

Obok małej liczby librecistów, obok znamienitego Minasowicza, Godebski wywiązywał się szczęśliwie



KSAWERY GODEBSKI. (Podług nadesłanej fotografii).

widzieć tam wcale. Były to efemerydy składane, trwające po roku i dwa, poczem ustawały. Nie w redaktorstwie była zatem jego zasługa.

Słuchając nauki na Żoliborzu u pijarów, w Kaliszu w korpusie kadetów, w uniwersytecie warszawskim i służąc w ministerium skarbu, obok pełnienia obowiązków nauki i służby, nigdy nie porzucił pióra.

Uporządkowawszy prace swojego ojca, wydał je w r. 1821. Zaniechawszy redakcyi, oddał się wyła-

z zadania. Świadkiem tego liczne libretta do oper owoce granych. Tłumaczył Boieldiego *Jana z Paryża*; tegoż *Kapelusik czerwony*; Rossiniego *Turka we Włoszech*; Majerbera *Emmę Roxburg*. Tutaj godzi się nadmienić, że pisał i franczkie libretto do opery Boieldiego *Telemak*.

Scena przeważnie go zajmowała w kraju i w tym kierunku pracował z powodzeniem.

Osiadłszy w Paryżu, pracował przy bibliotece tamecznej, a oderwany od związków ze sceną, pielegnował poezją i dzieje. Przełożył i wydał poemacik Lesguillona *Echo niebios* 1847. Drukował *Żywot Ludwika Platera* 1847; *Pamiętniki Hansa Szlązaka z XVI w.* 1847; *Otwarcie kursu historii i statystyki* (Słowiańszczyzna, dzieje bajeczne) zeszytów trzy, 1833 r.

Rękopiśmienne jego prace są liczne, jako to: *Ge-tego Ifigenia*; *Menzla Historia powszechna* tomów 6; *Spowiedź powszechna* tomów 7; *Heinego Stan literatury obecnej* tom 1.

Za przybyciem do Lwowa, wydał rozprawę: *Duch i dążności wieku*, 1860 Lwów; przełożył rozprawę *Linage de Vaucienne Zwierzenia Hier. Radziejowskiego*. Obecnie układa na obszerną skalę registr i dopełnienia do Jochera. Jest przytém jednym z najczynniejszych współpracowników czasopisma Biblioteka imienia Ossolińskich.

Wspomniałem tylko o główniejszych pracach Goddebskiego, pomijawszy drobne.

Kilkadziesiąt sztuk teatralnych i kilka dzieł poważnej treści dowodzi, że czy będąc w ognisku ruchu literackiego, czy też usunięty daleko po za to ognisko, nie przestaje pracować. Że utwory jego sceniczne nie ukazują się w druku, nie jego to wina, ale okoliczności. Tak samo zmarniały prace Majeranowskiego, marniej Gorczyńskiego Adama, acz w swoim czasie były one pożyteczne dla scen krajowych. O wartości naukowej tych licznych prac, nie pora mówić za życia autora; dostatecznym jest je wyciszyć. E.

Kronika tygodniowa.

Jakże zdrowie wasze, czytelnicy?

A niechaj was nie dziwi ta troskliwość z mojej strony, bo nigdy tyle chorych nie zdarzyło mi się widzieć, jak w obecnej porze. Wprawdzie nie są to choroby bardzo niebezpieczne, śmiertelność bowiem, o ile przynajmniej nam wiadomo, nie pomnożyła się tak bardzo dzięki Bogu u nas; ale wszyscy się skarżą, każdemu coś dolega. Jeszcze w tej powodzi chorób katar jest złem najmniejszym i przyzwyczailiśmy się do katarów peryodycznie u nas pojawiających się w tych czasach. Nawet w mieście takim jak Warszawa katar ma pewne swoje dogodności, zaprzeczyć temu niepodobna. Ale to ciągle przeszkakiwanie od mrozów do odwilży, i napowrót do mrozów; ta zima która od kilku lat utraciła zwykłe swoje zimowe cechy, następując po lecie wcale przymiotami letniemi nie odznaczającem się; ten jakiś niewytłumaczony przewrót w naturze, nad którego zbadaniem silą się urzędowi i nieurzędowi arzuysci, — wszystko to wpływa na zachwianie najsilniejszych nawet konstytucyj. Przez te kilka lat wszyscy postarzelismy znacznie i coraz bardziej czujemy na sobie lat ciężar. Nie wiadomo dlaczego, ale siwizna dziś wcześniejsza i zmarszczki, nawet w wieku który kilkanaście lat temu za względną młodość mógł jeszcze uchodzić. Wabi ciepło kominka, fajeczka i pantofle. Jedna noc nieprzespana nuży więcej, aniżeli dawniej cały tydzień na zabawach nieustannych spędzony. Nawet młodzież spowaźniała. Lada co jęj szkodzi, boi się wszystkiego: przeziębienia, zamoczenia nóg, szklanki wody nie w porę wypitej. Słowem karlejemy co do wytrwałości i zdrowia. Niechby któremu z nas przyszło obywać się bez galoszków, a broń Boże bez flaneli, nie nosić na gardle ochronnego szala, który w potrzebie nos i usta zawija, a przy tём wszystkim prowadzić ruchliwe życie, to możemy ręczyć że niedalekoby pociągnął, a nawet kuracya zgęszczoném powietrzem nie pomogłaby mu wcale.

Kiedy mówimy o tój kuracyi, przyznać należy że to jest jedna z nowości, które najlepiej się u nas mogą udać; bo siedzieć sobie przez parę godzin pod cylindrem, otoczonym księgami i dziennikami, bez żadnych obowiązkowych wdychań, napań i gimna-

stykowań się, nie jest znowu rzeczą tak utrudzającą, tём bardziej, że to jest doskonała sposobność zagrania naprzykład we czterech w wista lub bezyka, bo zajęcie dla chorego, skracające mu czas kuracyi, jest bardzo pożądaném. A jakież może być miłsze zajęcie nad karty? Któżby myślał nawet o czytaniu, kiedy karty pod ręką? Chcielibyśmy się tylko przekonać ile rok rocznie rozchodzi się tu książek, a ile talij kart, to prawda ujawni się przed nami. Pewien matematyk wyliczył, że kładąc jedną przy drugiej karty corocznie wypotrzebowane w Warszawie, możnaby niemi trzy razy tak wielki obszar jak nasze miasto założyć. Kto nie wierzy, niech sam się przekona; ja wolę wierzyć na słowo, jak to zresztą czynię ze wszystkimi twierdzeniami tego rodzaju.

Wracając do kuracyi zgęszczoném powietrzem, przyznać musimy, że chociaż namnożyło się u nas chorób, to niebrak nam na środkach do usuwania ich. Miły Boże! co też to tych różnych kuracyi od pewnego czasu pojawiło się u nas w Warszawie! Tu wdychanie, tam machina elektryczna podług nowego pomysłu zastosowana, owdzie znowu ćwiczenia gimnastyczne, jakies tam proskowania płynów, szpilkowania, zimna woda i nie wiem co jeszcze. A i homeopatya ciągle czyni postępy, coraz więcej mnoży się u nas adeptów tój nauki rozdrabniania do nieskończoności. Nie mówimy już o licznych środkach przez ogłoszenia dziennikarskie peryodycznie zachwalanych, które także wielu znajdują zwolenników. Zdawałoby się że przy tём wszystkim powinniśmy kwitnąć zdrowiem jak pasterze arkadyjscy. Ale niestety, tak nie jest i gotowibyśmy niemal przyjść do przekonania, że każda nowa kuracya musi sobie wyrabiać chorych, jak pismo prenumeratorów, albo sklep kupujących.

Nie wychodząc z kwestyi zdrowia publicznego, radzilibyśmy każdej gospodyni przeczytać uwagi doktora Siekaczyńskiego, zamieszczone w nrze 4 Kuryera Codziennego. Od pewnego czasu pomnożyła się u nas sprzedaż uliczna mięsa ze wsi do Warszawy dowozonego i sami przykaskiwaliśmy tój nowości, wpływ nie ona bowiem może na zniżenie ceny tego niezbędnego artykułu życia. Ale dowożenie z różnych stron tego mięsa ze wsi, mianowicie gdzie brakuje dozoru lekarskiego przy rzezi bydła, utrudnia bardzo zwykłą kontrolę zdrowia. Dlatego pan Siekaczyński podaje wyraźne cechy, po których zdrowe mięso od chorobliwego rozróżnić można. Jednym z najbardziej zabezpieczających środków jest gotowanie w temperaturze sto stopni ciepłomierza stustopniowego przenoszącej. Wskazane są tam także niebezpieczeństwa na jakie przez użycie nieświeżego albo ze schorowanego bydłęcia pochodzącego mięsa narażić się można. Dobrzeby było żeby ten artykuł wszystkie nasze piśma codzienne powtórzyły i radziłyby często widzieć w gazetach pomieszczane przestrogi tego rodzaju, nigdy ich bowiem zawiele być nie może.

Częste wypadki wydarzające się na wsiach, z powodu spożycia mięsa ze schorowanego, bydła najlepszym są dowodem, jak należy w takich razach zachowywać ścisłą ostrożność. Już to pod tym względem niewstrzeźliwość i nieopatrzność naszego ludu wiejskiego wszelkie przechodzi granice. Mięso, skutkiem zbyt rzadkiego użycia onego, uważa on za specyaf i korzysta z wszelkiej sposobności nabycia go darmo albo za tanie pieniądze. Jeżeli właścicielowi padnie bydło jakie, można być pewnym że tak właściciel jak i jego sąsiedzi rozbiorą bezzwłocznie pomiędzy siebie mięso, bez względu na jaką chorobę padło. Jeżeli wypadek zdarzył się we dworze, to zwykle padlina bywa zakopaną, ale i to niedostatecznym jest środkiem ochronnym, bo często zdarzają się nocni złodzieje, którzy wykopią i użyją na pokarm mięso, najczęściej już rozkładowi uległe. Smutne to, ale prawdziwe. Niedawno gazety donosiły (nie ręczymy za autentyczność wiadomości, ale powtarzamy ją po innych) że kartofle wyrosłe w miejscu gdzie pochowano padłego na księgosusz wołu, zachowały w sobie jad chorobliwy i zatruty tych którzy je spożyli. Być może iż to jest tylko kaczka dziennikarską, ale rzecz pewna że spożycie mięsa z padłego bydłęcia staje się najczęściej strasznych chorób powodem. Dlatego to ścisła i bezpośrednia kontrola nad pożywieniem jest jedną z najważniejszych ochron zdrowia ludzkiego, a jak pan Siekaczyński słusznie twierdzi, kontrola ta może być niedostateczną, jeżeli nie będzie popieraną współdziałaniem ogółu,

jako najbliżej w utrzymaniu swego zdrowia i życia interesowanego.

Czytamy teraz codziennie prawie powtarzane dość ciekawe ogłoszenia. Główny kantor loteryi zawiadamia, że pani Szymkowska, która wzięła 1/4 część losu Nr. 445 i przez wszystkie klasy ją opłacała, nie zgłosiła się dotąd jeszcze po swój udział w wielkiej wygranej 75,000 rs., która na powyższy numer padła. Widocznie, nie rachując na swoje szczęście, nie dowiadywała się nawet o rezultacie ciągnięcia. Dziwna to obojętność, bo wiele osób trzyma los na loteryę dlatego tylko, żeby się bawić nadzieją wygranej. Każdy z grających powiada, że musi trzymać otwarte okienko dla fortuny, jeżeli przypadkiem odwiedzić go zechce. O ile z zasiągniętych wiadomości dowiedzieć się można, wygrywająca nie zdawała się być w bardzo pomyślnym stanie majątkowym; tak więc spora stosunkowo summa obojętną dla niej być nie może, a zresztą któż i z bardzo bogatych ludzi odrzuci taki pieniężny przybytek, jeżeli go los nim obdarzy?

Zdarzają się jednak czasem takie niewytłumaczalne wypadki obojętności pieniężnej, które niezawsze na karb zapomnienia (jak to u pani Szymkowskiej zdaje się mieć miejsce) policzone być mogą. Przed kilkunastu laty w jednej ze znakomitszych stolic europejskich odbył się świetny bal, na którym zgromadzona była cała arystokracja rodowa i pieniężna tój stolicy. Po ukończonej zabawie, jeden ze służby pałacowej, porządkując salę balową, znalazł niezwyklej wielkości dyament, wypadły z oprawy i widocznie uroniony podczas tańca. Wartość tego dyamentu oceniono na przeszło 50,000 franków. Bezzwłocznie do wszystkich gazet poszły ogłoszenia, bez żadnego jednak skutku, nikt się bowiem po odbiór nie zgłosił. Czyniono różne przypuszczenia, na tle tego uronionego dyamentu wysnuto romansowe historie, felietoniści mieli przez długi czas przedmiot do rozlicznych gawęd, aż wreszcie rzecz cała poszła w zapomnienie i niewiadomo nam co się ostatecznie stało z tą kosztowną zgubą.

A i u nas czyliż niejednokrotnie nie gubiono po kilkadziesiąt tysięcy złotych, a zdawałoby się jednak że posiadający tak wielką sumę powinienby zachować wszelkie ostrożności. Przed kilkunastu laty pewien prawnik ogłosił, że zgubił na ulicy sto tysięcy rubli. Jedni wierzyli temu, drudzy zaprzeczali; lecz że to była summa depozytowa, zguba ta stała się ruiną poszkodowanego, a następnie i prawnika, który tak nieoglednie z depozytem się obszedł. W jednym z tutejszych hotelów, także dwadzieścia kilka lat temu, znaleziono pod schodami pugilares, ze skradzioną lub uronioną summą, wynoszącą kilkadziesiąt tysięcy złotych. We wszystkich jednak wspomnianych wypadkach przedsięwzięto poszukiwania i poczyniono stosowne kroki, celem odzyskania straty; tutaj zaś trzeba odwrotnie aż przez ogłoszenia dziennikarskie poszukiwać osoby, która z darów fortuny korzystać zaniedbuje.

Jedna uwaga. Mnóstwo osób gubi u nas pieniądze i ogłasza je przez gazety, prosząc o zwrot za mniejszą lub większą nagrodą, z dodatkiem wdzięczności. Otóż nie zdarzyło mi się czytać ani jednego takiego ogłoszenia, żeby tam nie stało, iż pieniądze zgubione stanowią ostatni fundusz osoby ubogiej, która w razie nieoddania zagrożona jest nędzą, albo głodową śmiercią. Zachodzi tedy pytanie, dlaczego te wszystkie osoby tak źle pilnują swojego ostatniego funduszu; bo widocznie bogaci nie gubią ani grosza, w ogłoszeniach bowiem nie zdarza się czytać o pieniądzach przez ludzi zamożnych zgubionych. Czyliżby ubodzy mniej aniżeli bogaci dbali o tę chimere Bertrandową? albowież czy ogłoszeniom dosłownie wierzyć nie można? To pewna, że wymowa panów zguby pieniężne ogłaszających powinienaby już się zdobyć na inny jaki sposób rozczulenia znalazców. Co zanadto zużyte, z czasem bezskutecznością staje.

Wolimy już przedsięwierać, który szczerze oświadcza, że potrzebuje do *bardzo korzystnego interesu* kapitalisty z funduszem aż 30 rs.! Taka summa to nie żarty, i co to musi być za interes, kiedy aż przez gazety trzeba wyszukiwać amatorów na niego! Inny znów oświadcza że ma kapitał, a pragnie tylko projektów Barnumskich interesów, jak to otwarcie ogłasza w obwieszczeniu w Kuryerze drukowanym,

wymieniając adres pod jakim projekta, albo raczej projektowicze, szukać go mają. Ręczymy że ten nie dozna zawodu, bo u nas, tak jak i wszędzie zresztą, łatwiej o projekta niż o kapitały. Uderzyło nas to ogłoszenie dlatego tylko, że każdy kapitalista prawie zawsze wierzy w swój rozum i przekonany jest, może i słusznie zkadinać, że on sam najwłaściwszy znajduje obrót dla swoich pieniędzy. Ogłoszenie więc dowodzi niezwykłej skromności, która zasługuje na publiczne uznanie.

* * *

Z urywków poezji przez panią J. S. nam nadesłanych, umieszczamy wyjątek odznaczający się nie tyle wykwintnością formy, ile rzewnością, która w tegoż utworach poetycznych niezawsze napotykać się daje. Czytelniczki ocenia.

Główkę wsparła na dłoni,
Okiem w niebios przestworze
Za chmurkami gdzieś goni,
A łez wstrzymać nie może.
O czym marzysz, aniele?
Gdzie myśl twoja ulata?
Świat ma szczęścia tak wiele,
Uśmiechnij się do świata.
Czy to może wspomnienie
Lat ubiegłych cię pjeści,
W duszy rodzi marzenie,
W sercu łezkę boleści?
I minione te lata,
Pierwszy pacierz dziecinny,
Tak się wszystko dziś splata
W dźwięk serdeczny, niewinny?
Albo może z rozkoszą
Sny o jutrze nieznanem
Twoję duszę unoszą
Za marzeniem kochanem?....

....Bo dusza z nieba wzięła początek,
Jęj nie wystarcza szczęście tój ziemi,
Mknie po nie za krańce świata,
W niebie jęj życia snuje się wątek.
Tam więc stęskniona, skrzydły jasnemi
W krainy Boże ulata.

Nadesłano nam następującą odezwe.

Szanowny redaktorze!

Sledząc pilnie polemikę w tutejszych dziennikach obecnie się toczącą o cechach, terminatorach, kształceniu się czeladzi i t. d., zauważyłem, że nikt dotychczas nie poruszył kwestyi wędrowek czeladzi, która w kształceniu się rzemieślników, a tēm samem w doskonaleniu i podnoszeniu się przemysłu, tak wielką odgrywa rolę. Ta możność wędrowania niemieckich czeladników gdzie ich tylko chęć bierze, jest podług mnie właśnie jedyną przyczyną wyższości ich pod względem inteligencji fachowej nad tutejszymi rzemieślnikami. Dla lepszego objaśnienia tēj kwestyi użyję następującego porównania.

Wyterminowanie się u majstra i wypisanie na czeladnika, odgrywa u rzemieślników tę samą rolę, co u kształcących się naukowo-ukończenie szkół gimnazjalnych.

Jak uczeń po ukończeniu szkół udający się na uniwersytet, dla słuchania z katedry przedmiotów specjalnych, wyższy będzie nauką i wiedzą od ucznia, który ukończywszy gimnazjum, osiada w miasteczku powiatowem i jako dytaryusz biurowy pracuje na kawałek chleba; tak samo czeladnik, gdy po wyterminowaniu uda się na wędrowkę i zwiędzi znakomite ogniska przemysłu, zdolniejszy będzie od tego, który po wyterminowaniu całe życie w jednem miejscu przesiedzi. — Wprawdzie i u takiego samouka wyrobić się może pewna zdatność, odkrywa się nawet czasem geniusz samorodny, a zdrugiej strony niejedyn wędrujący wraca niedołęga; lecz w ogólności, pociągawszy paralelę porównawczą, czeladź wędrująca po wyterminowaniu, zawsze będzie inteligentniejsza od tēj, która przez całe swe życie w ciasnym kółku domowem pozostaje.

To tēż zajrzyjmy w książkę wędrowną niemieckiego czeladnika, a wyczytamy iż pracował na wędrowce w całej prawie Europie.

Czeladnik taki nietylko że kształci się fachowo, ale i ambicya jego, jako tēż chęć zarobku i utrzyma-

nia się w obcym miejscu, przymusza go do skupienia swych zdolności i do moralnego prowadzenia się. Tym więc sposobem wędrowki czeladzi na rozwijanie moralności i samoistności indywidualnej oddziaływają bardzo zbawiennie.

Rozumię się iż wędrowki wtenczas tylko mogą oddziaływać korzystnie, jeżeli są skierowane do miejsc gdzie przemysł stoi najwyżej, lub przynajmniej znacznie wyżej jak w kraju tutejszym. Niechaj więc ci, którzy myślą i radzą nad podniesieniem i udoskonaleniem rzemieślników krajowych i o kwestyi wędrowek nie zapominają, niech się starają o ułatwienie im do tego środków prawnych i materyalnych. Inaczej, znając rozwój przemysłu zagranicą, a bacząc na obecnie jeszcze tak niski stan jego u nas, że za ognisko kształcenia się uważać go nie można, śmiem twierdzić że pomimo najszczerzych chęci i zwalczania innych jeszcze przeszkód, zólwim tylko krokiem postępować będziemy na drodze podniesienia rzemiosł krajowych. A ciągnąc z tego dalsze konsekwencye, dopóki czeladź tutejsza nie będzie miała możności zupełnego udoskonalenia się, dopóty każdy fabrykant lub majster przybywający z zagranicy, również jak i krajowiec w swym fachu za postępem przemysłu podażycy pragnący, zmuszony będzie sprowadzać umiejętnych czeladników z po za kraju.

Stefan Mizerski,
właściciel fabryki.

Przegląd polityki zagranicznej.

11 stycznia.

Podczas gdy stare i chore państwo Osmanów chwile się w swych podstawach, grożąc zawaleniem się tego spróchniałego budynku, dyplomacya europejska zaczyna coraz silniej zajmować się kwestyą wschodnią. Że układy, a przynajmniej narady w tym przedmiocie toczą się między gabinetami, to nie ulega już wątpliwości, lecz negocyacye te trzymane są w tak ścisłej tajemnicy, iż wszelkie dziennikarskie głosy opierają się jedynie na przypuszczeniach mniej więcej prawdopodobnych. Co do przebiegu toczącej się w Turcyi wojny wewnętrznej, nie także pewnego dowiedzieć się nie można, widziemy bowiem że tureckie telegramy wprost są przeciwne greckim. W ostatnich dniach nadeszły znowu depesze ze Stambułu, z dnia 5 b. m., donoszące że pod Phonia na wyspie Kandyi zaszła bitwa, w której padło do 300 powstańców, kilka tysięcy zaś powstańców, wraz z kobietami i dziećmi, schronić się miało na statki rosyjskie, które ich zawiozły do portów greckich. Potwierdzenia tēj wiadomości dotąd wyczekujemy. Z drugiej strony dowiadujemy się, że w Tessalii pod Nekropolis kilka tysięcy powstańców napadło na wojsko tureckie i silną zadało mu klęskę i że w Epirze utworzył się rząd narodowy. W sprawie serbskiej zaszła zmiana, Porta bowiem odmawia podobno żądaniom stawionym przez Serbię i rozkazała aresztować wszystkich Serbów w Hercegowinie. Jednocześnie korpus stojący w Bośni otrzymał rozkaz posunięcia się ku granicom Serbii.

Przemówienie noworoczne cesarza Napoleona i artykuły zamieszczone w Monitorze, zapowiadają że pokój europejski nie będzie zakłóconym i tēm silniej odskakują od wojowniczej mowy Wiktora Emanuela. Król włoski, w odpowiedzi na powinszowania składane przez senat i parlament, rzekł między innymi: „Od kilku dni słyszę wielu mówiących o oszczędnościach. Są one bezwątpienia potrzebne, ale nie zapominajmy że do wojska stosować ich nie możemy. Nierozważne oszczędności mogłyby sprowadzić rozprężenie w armii, która lada chwila powołaną być może nietylko do obrony granic, lecz i do okrycia się nową chwałą na innych polach bitew.“ Dzienniki zagraniczne podchwyciły te słowa, upatrując w nich zapowiedź blizkiej wojny. Z Meksyku donoszą, że cesarz Maksymilian rzeczywiście zwołuje głosowanie powszechne narodu, który postanowić ma raz jeszcze, czy dzisiejsza forma rządu zostanie i nadal utrzymana. W połowie grudnia r. z. generał Lozada, dowodzący wojskami cesarskimi w Tepic, zdradził swój standard i przeszedł do obozu Juareza, w skutek czego dowódzca francuzki Contagny nie mógł już wrócić do stolicy wschodnim traktem i zmuszony został odplynąć ze swym oddziałem na ocean Spokojny.

Wiadomości odebrane w tym tygodniu z Hiszpanii wskazują, iż nowy gabinet coraz silniej wchodzi na drogę reakcyi. Po rozwiązaniu kortezów, prezes senatu, marszałek Serrano, udał się do królowej i korzystając z przywilejów granda, wynurzył przed Izabellą II przekonanie swe o postępach Narvaeza, zwracając jęj uwagę na tę okoliczność, że polityka dzisiejszego gabinetu zgubną być może dla całej dynastyi. Królowa wysłuchała go uprzejmie, lecz za ledwie marszałek wrócił do swego pałacu, Narvaez kazał go aresztować i wywieźć z kraju. Rząd francuzki nie mieszka się dotąd w te sprawy, a poseł hiszpański, p. Mon, zapewnia w Paryżu, że ogół ludności chętnie widzi, iż raz przecie położony zostanie koniec rządowi zbyt słabym na półwyspie. Jakoż w rzecey samej postawa ludności hiszpańskiej nie jest dotąd nieprzyjazną dla gabinetu. Wielu deputowanych ze stronnictwa progresistów wydalilo się z kraju i przybyło do Paryża. W tējże stolicy obrał sobie stałe zamieszkanie b. prezes gabinetu, marszałek Odonell.

Pełnomocnicy rządów wchodzących w skład przysłego związku północnego niemieckiego, obradują w Berlinie nad ułożeniem projektu nowej organizacyi, lecz prace ich nie przedstawiają dotąd stanowczego rezultatu. Zdaje się, że wszystkie stronnictwa upatrywać zaczynają różne niedogodności i uszczerbki w tēm przysłym złączeniu, które pomimo to przeprowadzone będzie. Już nawet wyznaczono wybory do parlamentu niemieckiego na dzień 12 lutego, ułożenie zaś list wyborczych nastąpi w d. 15 stycznia.

Odebraliśmy następujące sprostowanie, które, powodowani bezstronnością, chętnie drukujemy.

Panie redaktorze!

W ostatnim numerze pisma pańskiego, w artykule „Ze świata muzycznego“, wyczytałem ciężki na mnie zarzut, jakobym w koncercie Beethovena, granym przezemnie na dochód rodziny po ś. p. Bodurkiewiczzu, porwał się na poprawianie Beethovena. Zarzut brzmi jak następuje: „...Szkoda tylko, że się do niej przypłatała dość niezręcznie podrobiona kadencya. Co ona miała znaczyć? Może chwilę pustoty na tle poważnego życia, może szyderstwo w obec potęgi? Było to coś obcego najzupełniej i przyszło nie w porę. Beethovena wspomagać nie trzeba i t. d.“

Wydrukowawszy podobny zarzut, chciałem przyjąć parę słów tłumaczenia mojego.

Dziwi mnie mocno iż sprawozdawca nie zna zwyczajów dawniejszych form koncertowych, gdzie w pewnym miejscu przez kompozytora bywała oznaczana *fermata*, mająca na celu pozostawienie egzekwującemu pola do rozwinięcia swęj fantazyi i okazania w solowym ustępie własnego układu, czy pojał dzieło i jak daleko dochodzi jego indywidualność. W koncertach Beethovena mamy taką fermatę w tym właśnie 3-im koncercie z C minor; w następnym zaś 4-ym z G major aż dwie, t. j. w pierwszej i w ostatniej jego części. Jeżeli zatem włożyłem w oznaczonym miejscu kadencyę, nie uczyniłem tego samowolnie, ani dlatego by Beethovena *wspomagać*, tylko aby iść za wolą autora najwyraźniej oznaczoną, a nawet z wielkiego dla mistrza szacunku starałem się w mej „przyplatanęj“ kadencyi, o ile wydolać mogłem, trzymać się ściśle stylu i motywów autora, bo całą moją intencyą było tylko: jeszcze raz w solowym ustępie streścić temata, a nawet pasażę, które mogły poprzednio może z akompaniamentem orkiestrowym ujęć bacności słuchacza. Nie było to więc nic „obcego“. Tak robili Moscheles, Henselt, Rubinstein i wielu innych, i ja tēż chciałem pójść w ich ślady, by choć słabym głosem śpiewać chwałę mistrza, i wątpię bardzo by ktokolwiek z obecnych, prócz sprawozdawcy, mógł mnie posądzić o „pustotę“ lub „szyderstwo“.

Nie pierwszy raz to w życiu mojem grałem ów koncert z tąż samą fermatą, a zdołałem uzyskać zadowolenie; i jeszcze raz powtarzam: zanadto szanuję wielkość geniuszu Beethovena, a z drugiej strony zanadto cenię publiczność słuchającą gry mojęj, ażebym się ośmielił wystąpić z czemkolwiek bądź, o czembym nie był z góry przekonany, iż jest na swoim miejscu.

Emanuel Kania.

Miasto Grójec.

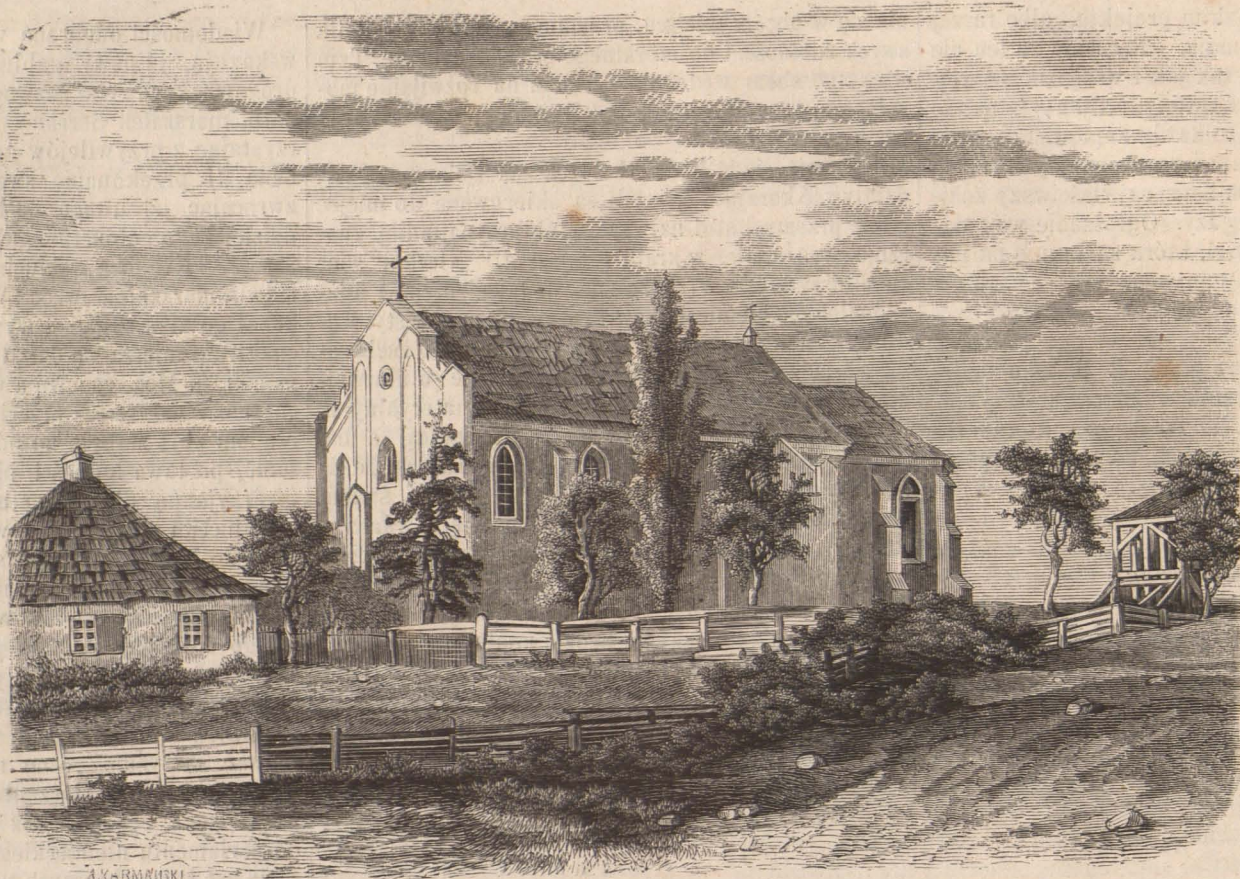
Od czasu zbudowania drogi bitej, będącej głównym traktem z Warszawy do Radomia, Grójec jest nie tylko jedną z pierwszych stacyj pocztowych, ale z powodu swej bliskości oraz handlowego ruchu, najściślej połączony z naszą stolicą węzłem. Położony albowiem w żyznej okolicy, przy zbiegu innych gościńców, osiadły w przeważającej liczbie przez starożytnych, którzy prowadzą znaczny handel zbożem i rozmaitemi produktami gospodarskimi, wywiera niemały wpływ na miasto główne królestwa.

Dla miłośników wspomnień historycznych z odległych wieków, miasto to jest pamiętnem, iż w niem urodził się najznakomitszy z kanzodziejów polskich, złotousty Piotr Skarga, niedościgniony władca naszego języka. W tutejszej szkole pobiął on początkowe nauki, aż do 17 roku życia swego, nim się udał na dalsze do akademii krakowskiej. I później, doszedłszy na światło znaczenia, nie zapomniał o swej ojczyźnie, pozostawiając jej zapisy to na uczniów ubogich rodem z Grójca, to na 20 ubogich grójcekich, utrzymywanych w miejscowym szpitalu, który na tę pamiątkę otrzymał tytuł św. Piotra. Wreszcie dotąd jeszcze po osiadłych niegdyś jego rodzicach pozostałe grunta zowią się tutaj „Skargowszczyzną“.

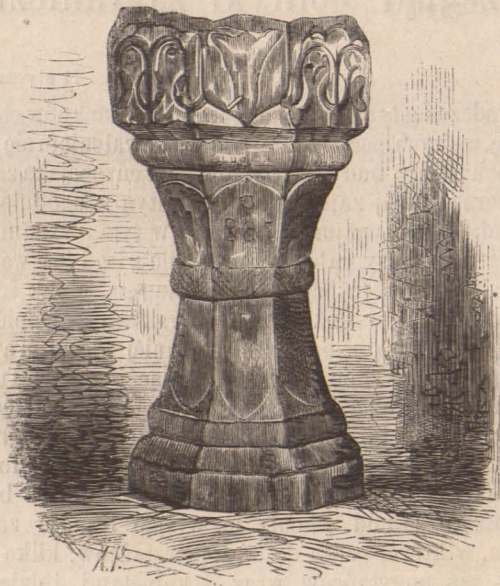
Wszakże dość ludny i ożywiony teraz Grójec, ma także dawne, świetne swoje dzieje. Jako miasto, założony został przez Janusza starszego, księcia mazowieckiego, w r. 1419; wtedy otrzymał rozmaite przywileje, np. moc rządzenia się prawem niemieckim, swobodę wolnego handlu i t. p. Późniejsi książęta i królowie licznymi go następnie obdarzali przywilejami i nadaniami, w skutek których już za dawnych wieków było to miasto ludne, zamożne i obszerne, czego dowodem służą dotąd na polach okolicznych odkrywane bruki, świadczące jak daleko przedtem się rozciągało.

Należąc do własności panujących książąt mazowieckich, a później monarchów polskich, było przez nich zamieszkiwane, o czem przekonują wzmianka o dworze i ogrodzie książęcym w dyplomie Bolesława z roku 1447, tudzież niektóre przywileje królowej Bony, z Grójca datowane. Sławne też były od niepamiętnych wieków wyborne gatunki piwa grójcekie, które niegdyś, mianowicie w Warszawie, bardzo były lubiane, i wyrób strun muzycznych, mających wzięcie nie tylko w kraju, ale i zagranicą.

Pierwsza atoli wojna szwedzka za panowania Jana Kazimierza, taki cios zadała temu miastu, iż zaledwie 16 zabudowań po niem w r. 1660 zostało. Zniknęły wtedy



KOŚCIÓŁ PARAFIALNY W GRÓJCU



CHRZCIELNICA STAROŻYTNA W TYMŹE KOŚCIELE.

bieżącego wieku.

Tylko kościół parafialny, chociaż przed kilku laty odnowiony, pozostał jedynym dawnego Grójca pomnikiem. Gmach to starożytny i obszerny, w stylu ostrołukowym XV stulecia. Fundował go jeden z książąt mazowieckich, lecz gdy erekeja jego i bliższa wiadomość daty założenia zaginęły, trudno zgadnąć komu się z nich zasługa tej fundacji należy.

Kościół ten w ścianach zewnętrznych dochował pierwotną architekturę; szczyty tylko i dach ma niższe. Wewnątrz prawie zupełnie jest przerobionym, ma jednakże drzwi do zakrystyi dosyć odznaczającego się kształtu, a ze sprzętów kościelnych godną widzenia, piękną kamienną chrzcielnicę, której wizerunek w drzeworycie przedstawiamy.

Jest ona wykuta w zwykłej formie, z ozdobami w stylu ostrołukowym XV wieku. U góry umieszczony herb Wieniawa, a poniżej monogram artysty i rok 1482.

Najnowsze odkrycia, wynalazki i spostrzeżenia naukowe.

(Dokończenie).

Znany w świecie uczonym fizyk Du Moncel odbył niedawno doświadczenia z nowego systemu elektromagnesami, pomysłu mechanika francuzkiego p. Carliera, które w praktycznym użyciu zastąpią z korzyścią dotychczasowe. Wiadomo że elektromagnes składa się z pręta żelaznego, zgiętego w kształcie podkowy, pokrytego drutem metalowym, po którym przebiega strumień elektryczny. Dotąd sądzono że odosobnienie druta jest koniecznym, i dlatego obwijano go jedwabiem, bawełną, guttaperką, lub powlekano stosownym rozczynem żywnym. To właśnie było błędem. Carlier dowiódł, że drut nie potrzebuje



RYNEK W GRÓJCU.

TEATR W WYOBRAŹNI TYCH CO GO NIE ZNAJĄ.

Szkice F. Kostrzewskiego.



Przyjaciele.



Lukrecya.



List żelazny.

żadnej powłoki, przy zachowaniu jedynie warunku, aby zwoje oddzielone były od siebie papierową osłoną, a cewki opatrzone wewnątrz pokrowcem odosobniającym.

W pierwszych próbach Du Moncel okazał, że mały elektromagnes o 103 zwojach, z drutem odsłoniętym bardzo cienkim, pod wpływem dwóch elementów Bunsena, zdołał utrzymać ciężar ważący blisko 10 funtów; gdy tymczasem tenże sam elektromagnes pokryty drutem grubszym, odosobnionym, utrzymy-

galwanometru też samą siłę oporową i zachowały się jednakowo, tak pod względem siły elektromagnetycznej, jakoteż skutków indukcji. Przeciwnie z drutem grubym na 3 milimetry, odsłoniętym, o zwojach mocno ściśnionych, w pewnych warunkach skutki były bardzo słabe. Wogóle w systemie Carliera siła natężenia magnetycznego jest największą wtedy, gdy odosobnienie cewek nie jest nazbyt wielkie, a powierzchnia stosów proporcjonalną do liczby zwojów.

serwatorium sztuk i rzemiosł wypadły zadowolająco. Wiadomo że woda dostaje się do kotła za pomocą pompy poruszanej przez samą maszynę. P. Potez dodał do rury doprowadzającej wodę, poniżej kłapy ssącej, rurkę zgiętą prostopadłe, kończącą się kłapką, która nieco unosić się może. Gdy więc ta ostatnia jest otwartą, pompa działając czerpie tylko powietrze, ponieważ woda w rurze przewodniej pozostaje w związku z ciśnieniem atmosferycznym. Chodziło teraz o to, aby klapka owa otwierała się sama przez się, gdy



Halka.



Napój miłosny.



Żydówka.

wał ciężar zaledwie 6 funtowy. Dodać potrzeba, że stosunkowo do większej średnicy drutu, liczba zwojów w tym ostatnim 77iu nie przechodziła. Siła przyciągania z odległości, okazała się również większą w nowym systemie.

Według Du Moncela, natężenie magnetyczne w elektromagnesie nietylko zależy od liczby zwojów cewki, ale nadto od średnicy druta i jego długości. Dwa elektromagnesy, z drutem mającym około 1/10 milimetra średnicy, o 27,000 zwojach każdy, z których jeden był odosobniony, a drugi nieodosobniony, okazały w obec

Częste eksplozje kotłów w machinach parowych sprawia brak wody. Gdy poziom tejże nagle się obniży, ściany kotła, pozbawione cieczy, rozpalają się, a w takim razie, napływ wody na metal do czerwoności rozgrzany, tworzy znaczną ilość pary, która cisnąc na boki kotła, niemające w skutek rozpalenia dostatecznej spójności, rozsadzić go łatwo może. Bezpieczeństwo wymaga więc, aby poziom wody w kotle pozostał niezmienny.

P. Potez rozwiązał zadanie to urządzeniem zalecając się prostotą, a odbyte próby w paryżkiem kon-

woda napływać będzie w nadmiarze do kotła, a tém samém aby poziom jej nie mógł się więcej wznosić. Wynalazca osiągnął to, łącząc kłapkę z pływakiem za pomocą pręta żelaznego, który zarazem otwiera kurek od świstawki. Gdy więc woda wzniesie się, pływak na jej powierzchni będący jednocześnie uniesie kłapkę, i pompa zaczerpnie tylko powietrze.

Dla uzupełnienia przyrządu potrzeba było, aby za obniżeniem się poziomu wody w kotle, pompa sama przez się mogła dostarczyć wody. Wprawdzie pływak, obniżając się, zamykał kłapkę i przerywał związek



Morderca.



Zachód słońca.



Dwa pojedynki.

39074



między atmosferą a rurą doprowadzającą wodę, w razie jednak przypadkowo powstałego ciśnienia w pompie, po zamknięciu kłapy tłoczącej, woda słabo wciągana nie przybywała w dostatecznej ilości do kotła. P. Thibaut zaradził temu, dodaniem pompie małego kruczka opatrzonego kłapką sprężynową, przez którą, za każdym silniejszym przeżeniu, uchodzi część powietrza lub wody wprowadzonej przez kłapę ssącą. Wszelkie przeto ciśnienie przypadkowe wewnątrz, jest odtąd niemożliwem. Przy użyciu tego szczęśliwie pomyslanego urządzenia, kocioł zasilać nadto można wodą bardzo gorącą; pompa działa z dokładnością automatyczną, wysyłając odpowiednią ilość wody do kotła, bez potrzeby regulowania biegu maszyny przez palacza, który jednak baczyć winien na ogrzewanie przyrządu parowego jednostajnym utrzymywaniem ognia. Zbytecznym byłoby dowodzić praktycznej doniosłości tego wynalazku.

Dotychczas używano tektury tak zwaną kamienną, wyrabianą w Clichy z twardniejącej masy papierowej, do fabrykacji rozmaitych przedmiotów ozdobę stanowiących. Obecnie ze sprawozdania p. Clémendot dowiadujemy się, że p. Dufournet zastosował ją do przemysłu, wyrabiając z tego materiału formy do cukru, naczynia bardzo ważne w rafineriach i jak wiadomo kosztowne. Formy dotąd przysposabiano z blachy żelaznej, cynku, miedzi pobielanej i gliny. Najlepsze z nich były z blachy żelaznej pokostowanej lub szmelcowanej; po pewnym jednakże czasie, polewa taka odpadała w wielu miejscach, i odsłaniając metal, spowodowała tworzenie się plam rdzawych na głowach cukru, które przez to wiele na wartości traciły, nie licząc strat na koszcie reparacji form ponoszonych. Formy z tektury kamienną wyrobione nie plamią nigdy cukru i niełatwo ulegają zepsuciu, jeżeli tylko są starannie wyrobione. W tym celu potrzeba tekturę w arkuszach, odpowiednio do modelu porzniętą, poddać działaniu prasy hydraulicznej, a następnie pokryć masę pokostem, nadającym jej jednostajność i nieprzemakalność, obok znacznej twardości i lekkości; po urobieniu zaś w formy, daje się im nakrywkę z blachy żelaznej u wiérzchu, a kółko żelazne u spodu, dla powiększenia wytrzymałości. Według obliczenia biegłych cukrowników, na formie z blachy żelaznej, kosztującej średnio 14 franków, traci się rocznie 1 i pół franka, tak z powodu potrzeby jej reparacji, jakoteż z obniżającej się wartości cukru poplamionego; formy tekturowe, po sześciu latach, jak okazał doświadczeniami p. Dufournet, nie potrzebują żadnej naprawy, koszt zaś ich 5 i pół franka wynosi, oszczędność przeto na jednej sztuce będzie 9 i pół franka, czyli na 100,000 form w ciągu lat sześciu 950,000 franków. Nie ulega nadto wątpliwości, że przy ostrożnym obchodzeniu się z formami tekturowymi, mogą one służyć przez czas dwa razy dłuższy.

Oprócz form rafinerskich, w zakładzie p. Dufournet'a wyrabiają się inne jeszcze przedmioty z tegoż materiału; tektura kamienna opiera się bowiem doskonale czynnikiem chemicznym, a tęp samem może z korzyścią i oszczędnością zastąpić szkło, gutta-percę, porcelanę; przysposabiają z niej naczynia dla fotografów, miednice, leje itp. Naczynia z téjże tektury do stosów elektrycznych okazały się niemniej użytecznymi, gdyż jedno z nich przez rok prawie służyło stacyi Noissy-le-Sec, i jest dotąd w jaknajlepszym stanie. Jeżeli dalsze próby dadzą równie pomyślne wypadki, telegrafy elektryczne skorzystałyby z téj nowości. Towarzystwo fotograficzne przyznało p. Dufournet jeden ze swych medalów rocznych.

Pettenhofer, profesor w Monachium, wynalazł bardzo łatwy sposób odnawiania zniszczonych obrazów. Według spostrzeżeń jego, zmiany w kolorystyce zachodzące powstają w skutek przerw w skupieniu atomów; psucie zaczyna się od powierzchni; drobne, mikroskopem zaledwie dojrzone rozpadliny, rozszerzają się powoli wskróś warstw farby, a wtedy obraz przejęty powietrzem, z postępem czasu odbija światło, jak zwierciadło pyłem kurzawy pokryte, i traci przejrzystość, jak oliwa zmieszana mocno z wodą. Proces odświeżania polega na zbliżeniu do siebie rozsuniętych atomów, co można otrzymać następnym sposobem. Obraz kładzie się w pudło płaskie, z dnem metalowym i umieszcza w atmosferze prze-

syconej alkoholem, w temperaturze zwyczajnej. Wtedy cząstki oleiste malowidła chłoną parę alkoholową aż do nasycenia, spójność między atomami nanowo przywróconą zostaje i obraz, bez dotknięcia pędzlem, odzyskuje pierwotne życie. Zamiast alkoholu, można używać eteru, terpentyny, oleju skalnego, nafty, benzyny itp. P. Pettenhofer tą metodą nadał świeżość wielu obrazom w Monachium, co tęp więcej zastanawia, że niektóre z nich były prawie zupełnie niewidoczne. Według opinii znakomitego chemika Liebiga, postępowanie to w niczém szkodzić malowidłu nie może i ożywia obrazy na czas długi.

Kurar, gwałtowna trucizna indyjska, jest ekstraktem czarnym, kruchym, pozoru żywicznego, w skład którego wchodzić ma, według opowiadań podróżnych, wielka liczba materij roślinnych, a nawet zwierzęcych. Indyjanie przenoszą ją w tykwach, w końcach strzał, lub w małych naczyniach. Od lat kilku trucizna ta była przedmiotem sporów; jedni utrzymywali że silny jej wpływ pochodzi od pierwiastku głównie czynnego, pomieszanego z innymi substancjami biernie się zachowującymi; drudzy przeciwnie dowodzili, że jest wypadkiem kilku czynnych trujących pierwiastków, cech odrębnych, połączonych w ekstrakcie w stosunkach różnych.

Doktor Preyer kwestyą powyższą stanowczo rozwiązał. W ekstrakcie kuraru znajduje się jeden pierwiastek wyłącznie działający, *kuraryna*, którego siła jest 20 razy większą od kuraru samego. Milligram (789/10,000,000 część luta) kuraryny rozpuszczonej w wodzie i wtrysniętej pod skórę silnej budowy królika, zabija go prawie natychmiast; gdy tymczasem potrzeba dwudziestu milligramów kuraru, aby otrzymać tenże sam skutek. Kuraryna zresztą działa w podobny sposób co kurar. Po rozpoznaniu pierwiastku trującego, pozostawało sprawdzić jaka go dostarcza roślina. P. Tulasne przesłał w tym celu, kierując się objaśnieniami podróżnych, trzy małe owoce rośliny *Paullinia curara*. Doświadczenia okazały, że wyciągiem z nich można zabijać żaby, a symptomata otrucia są zupełnie jednakowe z objawami jakie sprawia zadanie kuraru.

Grunta orne zawsze i wszędzie zawierają w sobie przynajmniej ślady fosforu i magnezyi, ale dotąd nie badano z kąd one pochodzą. Profesor chemii Reichenbach, sławiony kilku ważnymi odkryciami w nauce, zdaje się wykrył źródło tych ciał, rozsianych jednostajnie na powierzchni ziemi.

Według hipotezy Reichenbacha, gwiazdy spadającymi zwane sięją te ciała; gwiazdy te bowiem są tylko pyłem aerolitów, które, jak wiadomo, zawierają w swym składzie głównie kobalt, nikel, fosfor i magnezyę. Dészcz ów pyłkowy meteoryczny trwa od wieków, powinien więc pozostawiać na ziemi ślady, a ziarenka drobne metaliczne, prawie niewidoczne, mogły utworzyć z biegiem czasu masy dosyć znaczne, aby objawiły swą bytność w analizie chemicznej.

Dla sprawdzenia szczególnego tego poglądu doświadczeniami, Reichenbach wybrał się szukać kobaltu i niklu na powierzchni gór wyniosłych; jakoż wstąpił na Lahisberg, górę wysoką przeszło 1380 stóp, kształtu konicznego, gęsto u szczytu bukami zarosłą, i tam, w miejscu prawdopodobnie niedotkniętém jeszcze ludzką stopą, zebrał kilka garści ziemi i wróciwszy, poddał je rozbiorowi. Analiza wykazała, jak przewidywał Reichenbach, ślady kobaltu i niklu.

Próbki brane ze stoków wyżyn Haindelbergu, Kalenbergu, Dreymarksteinbergu, sąsiednich tamtéj, dały też same wypadki; jedne zawierały nikel i kobalt, drugie obok tych kruszców miedź jeszcze; równiny Marchfeldu okazały składy podobne.

Fakta to tęp więcej znaczące, że góry téj części Austrii przeważnie złożone są z wapienia i piaskowca, w których nigdy nie napotymano żyły metalicznej. Kobalt i nikel stanowiły jednostajnie $\frac{1}{10000}$ część ziemi pod rozbior wziętej, co w połączeniu ze stałem i również jednostajnym rozdzielaniem się fosforu i magnezyi na powierzchni gruntów, popiera prawdopodobieństwo przypuszczeń Reichenbacha. Spostrzeżenia te są poparte doświadczeniami i sławą uczynionego badacza, któremu należy się między

innymi zasługa odkrycia odium, co wszystko przemawiałoby za przyjęciem nowej teoryi.

Stara Anglia, zamiast chłódnąć z wiekiem, rozgrzewa się potrosze; w ciągu bowiem stu lat, temperatura jej podniosła się o 2 stopnie Fahrenheita w przecięciu. Obliczenia ścisłości matematycznej p. Glaisher, dyrektora obserwatorium meteorologicznego w Greenwich, okazały, że średnia temperatura Londynu w przeciągu 25 lat, od r. 1838—1863, wynosiła stopni 9,55; w ciągu zaś poprzedzających 25 lat, od r. 1813—1838, dochodziła 9,22°. Celem sprawdzenia, czy to podniesienie się temperatury, stopniowo postępowało, p. Glaisher przegądał rejestra obserwacji od r. 1770 notowanych. Temperatura średnia pierwszych 30 lat dochodziła 8,72°; następnej trzydziestki, zamkniętej rokiem 1829, 9,17°; nakoniec ostatniego peryodu, zakończonego rokiem 1860, 9,44°. Średnie więc podniesienie się temperatury w ciągu 30 lat, czyni 0,36°, czyli w ciągu wieku 1,1° ciepłomierza stustopniowego.

Wypadki powyższe, wprost przeciwnie opinii Araga nad niezmiennością średniej temperatury Wielkiej Brytanii, uderzyły uczonych. Szukano pilnie błędów, lecz przekonano się że klimat Londynu uległ rzeczywistej zmianie. Ocieplenie się powietrza, szczególnie w miesiącach zimowych, jest widocznem; temperatura średnia stycznia, podczas trzech peryodów trzydziestoletnich wymienionych wyżej, wznosiła w stosunkach następujących: 1,5°—2,05°—2,65°; mrozy długotrwałe i obfite śniegi, były zresztą w pierwszym peryodzie częstsze nierównie jak w drugim, a w trzecim dość rzadkie, co popiera spostrzeżenia termometryczne, wykazując że klimat Londynu, a zatem prawdopodobnie całej Anglii, znacznie złągódniał.

Oddający się z zamiłowaniem studjom naukowym rodak nasz, p. Pieńkowski, odbywał niedawno doświadczenia w Paryżu, z solami zachowującymi od zepsucia mięso, przez czas stosunkowo bardzo długi. Użył on do prób 54 porcyj wołowiny surowej, z których każda ważyła 4 luty, i umieściwszy je w stosownych naczyniach, posypał każdą $\frac{2}{5}$ luta soli, zostawiając w piwnicy, gdzie powietrze, obok niskiej temperatury, zachowało wilgoć niedozwalającą wysuszać się zbytecznie włókno zwierzęce. Z użytych soli 24 okazały się zachowawczymi, a w szczególności octany: sody, potażu, amoniaku, baryty, wapna; siarczany: cynku, żelaza, potażu; chlorek wapna i sól kuchenna. Po miesiącu mięsa nasycone solami nie okazywały żadnych oznak psucia się, po 5 jednak miesiącach pobytu w piwnicy, rozkład u wielu zaczął się objawiać, a po 7iu miesiącach tylko jedenaście porcyj zostało nienaruszonych, a mianowicie te, które były przejęte octanami: amoniaku, wapna, baryty i sody. Ze wszystkich jednak soli octan sody okazał się najodpowiedniejszym do przysposobienia na długi czas żywności; mięso bowiem nim przesypane, zachowuje woi przyjemną, obok niemięjszej zalety łatwego pozbywania się soli zachowawczej przez samo wymoczenie.

Człowiek z każdym nieledwie dniem, silniej owłada naturę, postugując się coraz więcej bogatemi zasobami jej sił, uległych potężnej jego woli i umiejętnemu kierownictwu, a coraz mniej zostawiając sobie pracy. Zdaje się jakby bliżką była godzina, w której wszelka ręczna robota ustąpi miejsca mechanizmowi, działającym dokładniej i prędzej.

Uwagi powyższe nasunął nam pomysł p. Juliusza Maistre. Dotąd ogrzewanie sal publicznych, cieplarni, i t. p. miejsc, gdy chodziło o utrzymanie jednostajnej temperatury, połączone było z wielu trudnościami; potrzeba bowiem zmuszała radzić się w każdej chwili ciepłomierza, otwierać lub zamykać kaloryfery. Odtąd wszelki dozór w regulowaniu stopnia ciepła staje się zbytecznym, dzięki urządzeniu p. Maistre.

Wyobraźmy sobie ciepłomierz merkuryuszem wypełniony, w kulce którego mieści się drut platynowy. U góry tego narzędzia drugi drut, również z platyny, wchodzi w rurkę, posunięty do takiego stopnia podziałki, w jakim chcemy ciepło sali ogrzewanej utrzymać. Dwa druty wspomniane nietylko są w związku z biegunami stosu, ale nadto z elektromagnesem u-

mieszczonym wprost wylotu (1) kaloryfera, który się zamyka, gdy elektromagnes odbiera strumień elektryczny, a otwiera, gdy strumień zostanie przerwany.

Ponieważ dwa druty platynowe są w związku z biegunami stosu, przeto aby po nich przebiegł strumień, potrzeba koniecznie ich połączenia za pomocą konduktora metalowego. Tym właśnie konduktorem jest kolumna merkuryusza ciepłomierza, która dosięgając drutu górnego, sprawia bezzwłoczny przepływ strumienia elektrycznego, co zawsze nastąpi, gdy temperatura sali ogrzewanej podwyższy się, a tym samym wzniesie słup ciepłomierza.

Przypuścimy że temperatura w sali ma być 14 stopni. W takim razie dostatecznym jest wysunąć drut górny do 14^o podziałki ciepłomierza; gdy bowiem merkuryusz, wznosząc się, dotknie na 14tym stopniu drutu, strumień przebiegnie natychmiast, a elektromagnes zamknie wylot kaloryferu. Przeciwnie, kiedy po pewnym czasie w sali temperatura się zniży, merkuryusz spadając odłączy się od drutu, strumień przepływać już nie będzie, elektromagnes przestanie działać i kłapa kaloryferu odsłoni wylot, dla przepuszczenia ciepła. Działanie podobne kolejno powtarzać się będzie, utrzymując temperaturę jednostajną, bez potrzeby żadnej obsługi: elektryczność wyręczy człowieka z dokładnością matematyczną. Urządzenie to wprowadzono już we Francji do kilku sal szpitalnych, cieplarni i t. p. zakładów, jako wynalazek użyteczny i praktyczny.

* * *

Notujemy ważne ulepszenie w zwyczajnych maszynach elektrycznych. Wiadomo że tarcza szklana, obracająca się pomiędzy dwiema poduszkami, niezawsze dawała odpowiednią ilość elektryczności; szkło bowiem, obok niemałego kosztu, przyciągało z powietrza wilgoć, zwłaszcza w dniach dżdżystych, skutkiem czego wypadało nieraz maszyny ogrzewać lub suszyć, dla otrzymania kilku słabych iskier. Tym niedogodnościom zaradza odkrycie przez p. Saint-Claire Deville tak zwaną *siarkę czerwoną*, mającą znaczną spójność. Siarka ta powstaje w skutek kilkakrotnego stopienia siarki zwyczajnej i nagłego następnie oziębienia; tafle z niej wyrobione, oprócz twardości, są wytrzymałe, i za uderzeniem wydają dźwięk bardzo do metalicznego zbliżony.

P. Richer, korzystając z zalet siarki czerwoną, powziął myśl odlwania z niej tarcz do maszyn elektrycznych, na cal grubych, a 3 i pół stóp średnicy mających. Tarcze takie daleko są lepsze od szklanych, jako niechłonna wilgoci, co pozwala odbywać doświadczenia bez względu na pogodę; prócz tego są o wiele tańsze i nie potrzebują poduszek, bo skórka kocia wystarcza do wydania elektryczności.

Nadmienić tu winniśmy, odpowiednio do niedawnych doświadczeń Dietzenbachera, że przetapiając siarkę w sposób wyżej podany, według metody pana Saint-Claire Deville, z dodatkiem niektórych ciał, jak: jodu, bromu, chlorku, gliceryny, naftaliny, parafiny, krezotu, kamfory, olejku terpentynowego, można, stosownie do potrzeby, powiększyć jej twardość, lub nadać jej miękkość plastyczną.

* * *

Doktor Davaine ogłosił niedawno spostrzeżenia swoje nad angwilami (*), dotyczące ich powstawania, żywiołu w jakim się utrzymują i pochodzenia. Według doświadczeń tego badacza, nie każdy ocet zaludniony jest angwilami, które do utrzymania życia potrzebują raczej cukru, niż kwasu; wpuszczając je bowiem do wody ocukrzoną, mnożą się w niej obficie, w zwyczajnej zaś wodzie zamierają; dodając nakoniec do płynu zawierającego angwile nieco krędy, dla zobojętnienia kwasu mlecznego, rozwijać się w cieczy takiej nie przestaną. We wszystkich płynach roślinnych, w sokach owocowych, angwile lubią przebywać; rozwijanie się ich zawsze wzrasta w stosunku prostym do ilości cukru w rozciekach zawartego. Davaine przychodzi wreszcie do wniosku, że angwile pochodzą z ziemi; owoc spadający z drzewa natychmiast przez nie opanowanym zostaje; przebywają też w winnych gronach, co objaśnia ich obecność w winie.

* * *

Ciekawe studia profesora Goeperta *o naturę organiczną dyamentu*, ukazały się już w handlu księgarskim, z ozdobnymi, kolorowanymi tablicami. Doświadczenia autora dowiodły, że dyamenty nie są pochodzenia plutonicznego, jak dotąd mniemano, gdyż wtedy czerniałyby pod wpływem wysokiej temperatury; lecz są utworzone działaniem neptunicznym, i w pewnej chwili swego przekształcania się musiały być miękkimi, niektóre z nich bowiem mają nie tylko na powierzchni odciski ziarn piasku i innych ciał twardych, ale nadto zawierają wewnątrz kryształki obce, nasiona grzybów i roślin wyższej organizacji. Spostrzeżenia te, zgodne z zapatrywaniem się Newtona, Brewstera i Liebiga, poparte dowodami jasnymi jakie nagromadził p. Goepert, okazują, że dyamenty są ostatecznym produktem chemicznego rozkładu materij roślinnych. N.

KORRESPONDENCA TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO.

Wrocław, w końcu grudnia 1866 r.

Z ustaniem wojny i cholery, która w samym Wrocławiu do 6,000 zabrała ludzi, wszystko u nas mniej więcej do dawnego powróciło stanu. W pismach miejscowych coraz częściej pojawiać się zaczynają dobitnie ilustrowane zaprosiny na kielbasy, karpia i wędzonkę z kapustą, ulubione potrawy Ślązaka. W salach tyle czasu opuszczonych, znów zabrzmiała muzyka (niezawsze wyborowa) z towarzyszeniem dzwoniących we filiżankach łyżeczek (cynowych) i brzęku pokrywek kuflowych, a gęstą chmurą dymu, pochodzącego z cygar niekoniecznie wonnych, owiani młodzi wojacy, prawią trwożliwie słuchającym pannom i ich matkom o trudach i bajecznie odważnych czynach swoich na polu bitwy. Przysłowie mówi: *audaces fortuna juvat*, niema się przeto czemu dziwić, że owym prawdziwym czy mniemanym bohaterom otwierają się współczuciem napełnione serduszka niewieście. Rzeczywiście, ogłoszenia zaręczyn w ostatnich miesiącach niemało zajmują przestrzeni w gazetach, zawiadamiając publiczność o pierwszym kroku ku związkowi, w którym bez pokoju tak zewnętrznego, jako i wewnętrznego, niema szczęścia.

Kto pożądanym związków sercowych znaleźć nie może na balach, koncertach lub innych miejscach publicznych, już nie tyle co dawniej waha się w użyciu pośrednictwa pism publicznych, ażeby uzyskać czego pragnie. Niema prawie dnia, ażeby między inseratami nie było ubiegających się o małżeństwo. Wnioskować z tego wypada, że sposób ten, dziś ani nadzwyczajny u nas, ani zgorzeniem uderzający, wieńczony bywa spodziewanym skutkiem, t. j. bardziej, kiedy obok wszelkich przymiotów, nie brakuje brzęczącego dodatku. Zawarcie ślubu dziś, jeżeli nie ogólnie, to przecież często dosyć, opiera się na rachubie, a zastanawiając się nad wychowaniem panien dzisiejszych, nie można nawet mieć za złe starającemu się, jeżeli nie zapomina o posagu. Niemieczi, stynące dawnymi czasami z cnót domowych, dziś mniej daleko zastępują w tym na uwielbienie. Panna niemiecka (nie wyjmując i córki rzemieślnika) obecnie nierównie więcej myśli o strojach, o bębieniu na fortepianie i śpiewaniu, o świeceniu się wszędzie, gdzie zwrócić potrafi uwagę drugich na osobkę swoją, aniżeli o należytem przysposobieniu się do obowiązków, których sumiennego spełniania przysły małżym wymagać ma prawo. Do prowadzenia domu otwartego, do sprawiania strojów modnych (na co niejedna panna po zameżciu rachuje) koniecznie potrzeba pieniędzy, grubych pieniędzy; przysły małżonek przeto słusznie domaga się, żeby rodzice część przypadającego nań ciężaru wzięli na siebie.

Ale nietylko kawalerowie w gazetach oświadczają chęć swoją do wstąpienia w stan małżeński; i płeć piękna już zaczyna iść w ślady za mężką, choć nieco skromniejszym co do wymagań sposobem, zapewne dlatego, że kandydatki już rozstały się z pierwszym kwiatem młodości, a pragną jedynie czępką.

Ale dosyć, może nawet już zanadto, o niewiastach niemieckich, o trybie zapoznania się i zbliżenia wzajemnego, tudzież o pomocy jaką w tym względzie nastroją gazety; przejdźmy do czego innego.

Kilka dni jeszcze, a rzesisto oświetlona choina stanie wśród darów przywiązania i miłości, około niej porozkładanych. Wieczorne godziny wigilii Bożego narodzenia ze strony dziatwy tyle są upragnione, ile uroczyste. Oczka

o mało nie wyskakują z głowy, a z szeroko otwartych usteczek słówko nie wychodzi, kiedy po długiemi czekaniu podwoje otwierają się i wzrok zatopiony w morzu światła i blasku, przebiega z jedną błyskotką na drugą. Radość, zachwycenie do najwyższego wtedy dochodzą stopnia, a starzy, przypominając sobie wrażenia w młodym wieku doznawane, zapominają o oszczędności Niemcom wrodzonej. Prawda że i pokusa do wydawania pieniędzy przed świętami jest ogromna, bo każdy kupiec wtenczas zaleca towar swój jako najstosowniejszy na święta: ten wychwala przepyszny wybór przedmiotów toaletowych, zaczawszy od kapelusika, głowę (bardzo stosownie w porze zimowej) w kształcie talerzyka przykrywającego; ów rozmaite zabawki, piękne a niesłychanie tanie. Kupujcie, kupujcie, brzmi na wszystkie strony, po wszystkich ulicach, najbardziej i najgłośniej jednak pomiędzy budkami, gdzie niższe warstwy społeczeństwa szukają drobności, aby nią ucieszyć dzieci, przyzwyczajone przez rok cały do niedostatku, a nierzadko i do nędzy.

Jeżeli jeden z celniejszych blawatników tutejszych, jak mówią, w ciągu dnia jednego sprzedał za 6000tal. (!) towaru, księgarze tak świetnych interesów nie zrobili, choć dobra książka stosowna a użyteczna jest gwiazdką. Zato fotografowie ogromnie byli zatrudnieni. Gdzie próżność gra rolę, tam spekulacja nigdy nie chybia, a skoro już i służąca poczytuje obdarzenie kochanka wizerunkiem swym za rzecz konieczną, nie dziwnego że znaczna tu ilość fotografów istnieć może, tudzież że celniejsi dochodzą, i to w krótkim stosunkowo czasie, do pięknego majątku. Do rzędu słynących z robót swych należą przedewszystkiem: Robert Weigelt, nadworny fotograf księcia Hohenzollern i bracia Siebe.

Pomiędzy nowościami księgarskimi (w porze obecnej niekoniecznie licznymi) dwie, bliżej obchodzić mogące publiczność polską, na szczególną zasługują uwagę. Nowy, dokładny Słownik polsko-niemiecki i niemiecko-polski Dra Booch-Arkossy, dyrektora zakładu handlowego w Ówkwie w saskim, część polsko-niemiecka którego niedawno wyszła, dlatego już pożądanym jest dziełem, że na podstawie najnowszych i najlepszych źródeł, stosując się do teraźniejszego stanowiska nauk, sztuk, handlu i przemysłu, mieści w sobie całkowitą tychże terminologią, brakującą w słownikach dawniej wydanych. Pierwszy tom, obejmujący przeszło 1000 stronic trzyszpaltowych, zaleca się pięknym papięrem i wyraźnym, czytelnym drukiem, a nakładca, H. Haessel w Lipsku, przyrzekł, że drugi tom wyjdzie niezawodnie w ciągu przyszłego roku. Wartoby żeby prasa polska ujęła się za przedsięwzięciem tyle użytecznym i potrzebnym, a tym samym zachęciła do dalszych na tej drodze kroków. Drugą nowością jest przekład „Wiesława“ Brodzińskiego, ślicznej na wieczne czasy sielanki piewcy polskiego, przez niejakiego Schönke, nauczyciela przy tak zwaną Louisen-schule, tudzież przy seminarjum dla nauczycielek w Poznaniu, przekład tyle wierny, ile płynny, a zasługujący na to, żeby publiczność niemiecka, nie puszczając go mimo, nanowo przekonała się, że podług często używanego przez nią przysłowia „i za górą mieszkają ludzie“, t. j. że i literatura polska słusznie ma się czem pochwalić.

Skutki skończonej niedawno wojny do dziś dnia jeszcze czuć się dają, a widoczne są osobliwie w znacznie zmniejszonej chęci do budowania. Szczęściem niechęć ta, która moc ludzi pozbawia zarobku, nie rozciągnęła się aż do budynków skarbowych, t. j. do nowej giełdy kupieckiej (pyszno gmachu, który po skończeniu będzie jedną z pierwszych ozdób miasta), do bóżnicy i do belwederu, kosztem jednego z obywateli wnoszącego się na wyniosłym punkcie promenady. I koło teatru, w zeszłym roku zgorzałego, nie na żarty krzątają się, a jest nadzieja, że z początkiem października r. p. nastąpi otwarcie.

Sądząc podług planu, urządzenie zewnętrzne i wewnętrzne będzie takie, jakie przystoi na pierwsze po stolicy miasto monarchii; oby tylko i przedstawienia odtąd były lepsze. Jako dzierżawca, dyrektor przedewszystkiem myśli o tym, żeby najwięcej zagarnąć pieniędzy, a wierny tej zasadzie, członkom trupy najskromniejsze stawiającym warunki daje pierwszeństwo. Pod takim zarządem naturalnie ani dramat, ani opera niewiele warte. Są tu artyści utalentowani, jak np. Lwowianin Robinson, baryton przesłiznego głosu, a ulubieniec publiczności, ale to białe kruki wśród zgrai czarnych.

(1) Otwór górny kaloryferu nazywa się *wylotem ciepła*.
(*) Gatunek robaczek, często znajdujących się w occie, w winie i t. p. rozciekach.

TYPY I POSTACIE LUDOWE.

Jak słyhać, pani Viardot-Garcia przybyć tu ma w lutym r. p., aby wystąpić w jednym z koncertów towarzystwa orkiestrowego, zostającego pod kierownictwem p. Damrosza.

I. M. Fritz.

Z TYFLISU POD ARARAT.

Przez

Kazimirza Łapezyńskiego.

(Dalszy ciąg).

Zaprzestajemy dalszych cytacji i przechodzimy do innych ciekawości czarnoksiężkiego rękopisu.

Rozdział 218 olbrzymiego Karabadin'u ma tytuł *Prawdziwy i ściśły księżycowy kalendarz*. Jest to wróżbiarski, obszerny opis mistycznych własności każdego dnia księżycowego miesiąca. Każdy z nich bowiem bywa stosowny do najróżnorodniejszych zajęć i sztuka życia na tem zależy, żeby wiedzieć kiedy się do czego brać. I tak: pierwszego dnia księżycowego miesiąca dobrze w podróż wyjeżdżać, siał, sadzić i owce strzydz; drugiego każda ucztę szczęśliwie i w dobrej harmonii się kończy; trzeciego odszukuje się z łatwością rzecz zgubiona; czwartego wszystko dobrze zaczynać. Kto ma interesa z ludźmi wysokiego stanu, dobrze je na ten dzień odkładać. Piątego dobrze posag oddawać, zaczynać ujeżdżanie konia, przyjmować czeladź i robić wino; szóstego dobrze dziecko zaczynać uczyć, fundamenta zakładać i t. d. i t. d.

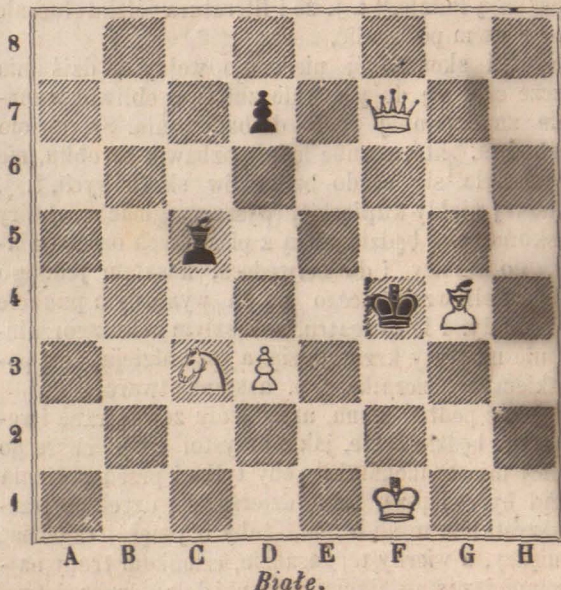
Szczęście z nieszczęściem się przeplata. Każdy dzień do tego lub owego jest dobry, do czegoś innego najgorszy. Wszystko to bardzo szczegółowo czarnoksiężka georgiańska księga wykłada. Sen każdego dnia bywa innej natury. Pewnych dni sprawdza się natychmiast, innych na drugi, trzeci, czwarty albo piąty dzień. Czasami aż na 20ty. Często zupełnie się nie sprawdza. W każdej chorobie bardzo jest ważną rzeczą wiedzieć, którego się dnia księżycowego rozpoczęła, bo stosownie do tego będzie silną, słabą, łatwo dającą się uleczyć, albo śmiertelną. Między powrotem całego życia, zdrowiem, a nawet charakterem człowieka i dniem urodzenia tajemniczy związek istnieje. I tak: kto się 3go dnia księżycowego urodzi, musi być kłamcą, 4go będzie chorowi-

S z a c h y.

ZADANIE CCCXXXVII.

Białe zaczynają i dają mata za trzecim posunięciem.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 336.

Białe.

Czarne.

- 1) F2—D4
- 2) G6—G1
- 3) Królowa albo laufer daje mata.

- 1) C5—D4 biorą.
- 2) Jakkolwiek.



DZIEWCZYNA WIEJSKA Z OKOLIC SIENIAWY. (Rys. z nat. Przyszychowski).

ty, 5go, choć to dzień w innych względach bardzo feralny, będzie długo żył, 6go będzie szczęśliwy, ale będzie miał gwałtowny charakter i t. d. i t. d.

Większa lub mniejsza feralność każdego dnia księżycowego nie jest dowolna, ale historyczno-religijnie wyargumentowana. I tak: najgorszy dzień z całego księżycowego miesiąca jest 15ty, w tym bowiem dniu przypaść pomieszenie języków przy budowie wieży Babel; 3ci jest dość podejrzany; co ma złego, winien to Kaimowi, co dobrego Samsonowi, urodziny bowiem obydwóch w tym dniu przypadły; 4ty nadzwyczajnie szczęśliwy, bo się w nim Chrystus urodził; 7my bardzo nieciekawym pod każdym względem, Ewa bowiem w tym dniu skusiła Adama, dla rybołówstwa tylko pomyslny; 8my znowu dobry, bo to urodziny Matuzala; 10ty także, bo Bóg winogrona w tym dniu w raję zasadził i t. d. i t. d.

Wszystkie te tajemnicze szczegóły georgiańskiego czarnoksiężstwa od lat trzydziestu zna Europa, uczony bowiem Brosset przetłumaczył ten 218 rozdział Karabadin'u i umieścił w swoim dziele, które wyszło w Paryżu w 1833 roku pod tytułem: *Mémoires inédits, relatifs à l'histoire et à la langue géorgienne*, composés ou traduits et écrits par Brosset jeune. Z tego źródła pełną garścią czerpią paryscy wydawcy owych smutnych wróżbiarskich broszurek, rozchodzących się tysiącami wśród niby to oświeconego społeczeństwa, na przyszły wstyd naszemu stuleciu i na dowód że religia i zabobon, są to dwa przeciwległe bieguny, co dobitnie georgiańskie przysłowie maluje: *księdzu nie chcieli wierzyć, jego psu uwierzyli*.

Gwar pocztowej stacyi obudził mnie bardzo rano. Czyja kolej nadchodziła, odjeżdżał; ale dwaj kurjerzy, co nocą przejeżdżali, popsuli nam szyki: sześć koni znowu ubyło.

W pokojach gościnnych, zamiast luster i obrazów, wiszą w ramach drukowane przepisy pocztowe, obchodzące podróznego. Można się z nich dowiedzieć ile koni stacya powinna utrzymywać, ile wiorst na godzinę pocztylion powinien jechać z podróznym, ile wracając, ile minut na drugiej stacyi koniom wytchnąć, jak długi czas wróciwszy z podróży popasać. Nadto w kancelaryi powinna leżeć otworem księga,

w której zapisani są wszyscy podróżni, ich dowody i godzina wyjazdu i przyjazdu. Mając takie dane, przystąpiłem do rozwiązania bardzo skomplikowanego zadania: o której godzinie powinienem prawnie ze stacyi wyruszyć? Dozorca poczty, miarkując z moich poszukiwań w księdze podróznym, że mam bardzo matematyczne usposobienia, dopomógł do dokładnego rozwiązania naukowego zadania, udzielając łaskawie nieznanymi mi dotąd cyfr, a mianowicie: trzy konie kulawe, dwa podpalone, cztery zdechło w tych dniach, nadto jeden z podróznym miał tak ciężki powóz, że zamiast zapisanych trzech, wziął koni sześć. Zadanie weszło na nową drogę. Stało się koniecznością do teoretycznej wartości x dodać współczynnik praktyczny, wynoszący kilka godzin. W tym razie, rozwiązując równanie, x była to jedenasta godzina.

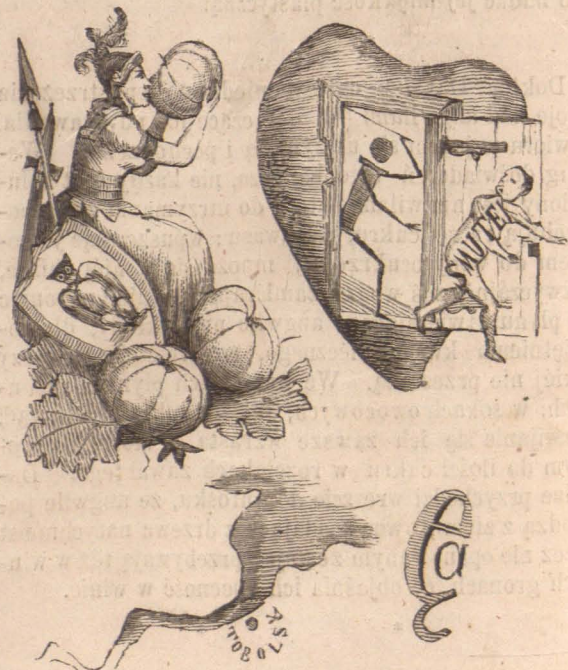
Nie mając co lepszego do roboty, wzięłem dubeltówkę na plecy i poszedłem w świat, zapowiadawszy dozorczy, że jeżeli o jedynastej nie będzie dla mnie koni, to ku wiecznej pamiętce, całe wyrachowanie, ze wszystkimi ułamkami i z nowo wprowadzonym współczynnikiem, wpiszę do księgi skarg. Owa cierpliwa księga na każdej stacyi wisi na sznurku, wielką urzędową pieczęcią do stołu przytwierdzona.

Słońce tylko co weszło, dogrzewało już jednak porządnie, zapowiadając potężny upał, co wzięwszy na uwagę, a mając do wyboru cztery strony świata, wybrałem sobie do przechadzki zachód, miał bowiem najwięcej skalistych wzgórz i zielonejących się ogrodów, więc stosunkowo najwięcej chłodu obiecywał. Strzelając po drodze turkawki, bo więcej nie było, około ósmej doszedłem do georgiańskiej wioski, otoczonej winnicami, i przy pierwszym spotkaniem *darbazie* zasiadłem nad miską świeżego mleka. Częstująca mnie rodzina wieśniacza, powierzchownie nie różniła się wcale od tyfliskiego ludu; byli to ci sami

co tam gościnni, weseli i serdeczni Georgianie, ale *darbaz* bardzo był od tyfliskiego odmienny. W mieście najwięcej domów jest parterowych z suterunami. Każdy lokal na parterze zwykle połączony jest z należąca do niego suterena waznutkami kamiennymi schodkami, wychodzącymi wprost z któregośkolwiek pokoju. W czasie straszliwych letnich upałów, chłodna, z małymi okienkami suterena jest jedyną od gorąca obroną. Cała familia chroni się do tej twierdzy, urządzonej tak samo jak parterowe pokoje i która nazywa się *darbaz*. Wiejski *darbaz* od miejskiego tem się głównie różni, że nie ma nad sobą

(Ob. dodatek).

Rebus.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 380.

Na nowy rok przybywa dnia na zajęczy skok.

(Dodatek.)

parterowych pokoi. Latem i zimą jest jedynym mieszkaniem wieśniaka i wygląda jak nasza wiejska piwnica, z ziemnym nasypem na wierzchu. Wieś, jest to zbiór takich pagórków opatrzonych kominami, przy których białe, kudłate psy na straży przesiadują. Inwentarze mieszczą się w byle jakich zagrodach pod gołym niebem, co wszystko razem jakoś po lapońsku wygląda. Gdyby nie szafirowe niebo, nie winnice i nie bujna roślinność, wioski w tej okolicy Georgii byłyby bardzo smutne. Dodać jednak wypada, że takie wieś tylko w otwartych i niższych miejscowościach się znajdują; wszędzie w górach, gdzie się przed gorącym nie trzeba chować do piwnicy, mieszkańcy budują *sahle* (domy) z kamienia, a bydło trzymają w oborach. W wiosce do której przyszedłem, oprócz piwnic, kałuż z gnojówki i zagnojonych zagrod, stały jeszcze na uboczu małe stodołki z chrustu plecione, w których się przechowuje *saman*, to jest słoma zmięta i porozrywana na kawałki, skutkiem oryginalnego tutejszego mlócenia. Żeby wymłócić zebrane zboże, postępuje się tak: wbija się w ziemię pal, wkoło pala urchadza się pod gołym niebem klepisko, na którym rozkłada się zboże. Do pala przywiązuje się bawół, a do bawołu gruba deska nabijana krzemieniami, na której siada baba i wkoło pala jeździ. Po długiej podróży zboże się wymłaca, ale słoma się przeistacza w coś podobnego do paprochów ze starego siennika, i to jest właśnie *saman*, zastępujący w hodowli inwentarza naszą sieczkę. A że w zimie ten niezbyt pożywny produkt prawie wyłącznie żłób napełnia, w lecie zaś słońce trawę na pastwiskach wypala, krowiny przeto od naszych wiejskich nie są pokażniejsze i równie skąpe w udzielaniu mleka.

Do wszystkich ciężkich robót używają się bawoły. Do pługa w czasie posuchy, kiedy gliniasta ziemia popęka i jak skała stwardnieje, wypada czasem po osiem par zaprzęgać. Kilku gospodarzy w takim razie na jeden pług się składa. Co skibę z niesłychanym mozołem wyorzą, siedząc na jarzmach i krzycząc, to i popas. Zasiadają w kółko, gniotą burdiuk z winem do właściciela pola należący i chóralna, grzmiąca pieśń daleko płynie ponad wyschniętą ziemią. Żeby lemiesz ukośnie ziemię krajał, jedno kółko w pługu jest większe, drugie mniejsze. Ale kółka te są z jednej sztuki drzewa wyrobione, jak u starożytnych taczek, nadto nie kute, po pewnym przeto przeciągu czasu z okrągłych robią się kwadratowe, co jednak nic nie przeszkadza.

Z posuchą bięda; po deszczu jeszcze większa bięda. Głina zmieszana jest z marglem, dno ma nieprzepuszczalne, więc co kilka kroków trzeba i pług i racice bawołów oswobadzać od wielkich nalepów błota. Słowem w tej okolicy chodzenie koło roli jest ciężką i niewdzięczną pracą. Na domiar złego wszystkie narzędzia rolnicze są podobne do pługa o kwadratowych kółkach. Dość powiedzieć, że pierwsza lepsza wielka gałąź miejsce brony zastępuje. Żeby kto ztąd złego wyobrażenia o krajowcach nie nabył, czego sobie wcale nie życzę, bo to moi serdeczni przyjaciele, proszę zajrzeć do ogrodów i do winnic, jak to tam wszystko czysto, pięknie, pracowicie, co to za uprawa irygacyjna, co to tam za plody garnarskiego geniuszu! Bez żartu mówię o garnarskim geniuszu. Wszystko wino całej Georgii, a jest go spora ilość, fermentuje i przechowuje się w garunkach. Mięwają one wielkość najpotężniejszych beczek, dość powiedzieć, bywają zdarzenia, że ludzie w nich toną. W każdej nowej winnicy, na miejscu suchym i wzniesionym, rząd tych olbrzymich urn zakopuje się po otwór w ziemię, oczekując winobrania. Raz zakopane, długie lata gospodarzowi służą. Dobry materiał wiele zapewne pomaga, żeby można ulepszyć takie monstrualne dzieje; ale zawsze sztuka to niepospolita. Ściany tej glinianej beczki niezbyt są grube, cała nawet nie mają, ale wybornie wypalone, za stuknięciem dźwięczą jak srebro. Mają po sobie żłobkowane rozmaite linie krzywe i rysy, zdaniem krajowców niezbędne, żeby nacynia przy wypalaniu nie popękały. Zachodnia Europa, tak dzisiaj zapalona do przemysłu, tak checiwa użytkowania wszelkiego surowego materiału, powinna specjalnie zbadać georgiańskie garnarstwo, a mnie posąg postawić, żem ją na trop wprowadził.

Skoro już garnek zatarł złe wrażenie kwadratowego koła i sękatę brony, powróćmy do darbazu.

Piję mleko pod darbazem, na darbazie siedzi pies, koło niego kury zawzięcie ziemie grzebią. Kury

nie takie jak nasze; mniejsze, nie grubo-płaskie, ale wysmukłe, najczęściej białe, z żółtawymi piersiami, grzebyczki małeńkie karbowane, ogony nie prostopadłe do grzbietu i nie wachlarzowate, ale pochyłe i cienkie; słowem: georgiańska kura kształtem pomiędzy naszą kwoczką i bażantem pośredniczy, co osądziłem za stosowne opisać, żyjąc w epoce angielskiej kuromanii.

Piję mleko, kury grzebią. Jedna z nich coś widząc bardzo ciekawego znalazła, bo zagadkała z takim podziwieniem, że drugie porzuciły zajmującą robotę, przyszły patrzeć na znalezione dziwo i przestraszonym głosem udzielały sobie wzajemnych objaśnień. Georgianie mają wspólne z nami przysłowie: *kura grzebała i wygrzebała noż*. Byłem pewny że się to ziściło. Pies wstał z miejsca i z powagą poszedł zobaczyć co to takiego. Ostrożnie powąchał, nastawił uszy, pokazał zęby, próbował wziąć w pysk, ale się bał widocznie, tylko warcząc łapą uderzał i tak mnie rozciekawiał, że poszedłem i ujrzałem... śliczny okaz brunatnego skorpiona. W Georgii pełno ich wszędzie. W Tyfisie w ziemi nasypanej na płaskie dachy ze szerególnym zamiłowaniem przesiadują i przegryzły trzcinowy sufit, często do pokoju spadają. Opowiadania o ich jadowitości są znacznie przesadzone. Widziałem kilkanaście ukąszeń; po każdym nastąpiło kilkodniowe spuchnięcie i nic więcej. Czarne tylko skorpiony są niebezpieczne; niema ich jednak w Georgii. Jedziemy właśnie do nich, bo w Armenii bardzo często się trafiają.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Gawędy ekonomiczne.

1. Życie z rachunkiem.

Przed kilku laty odbywałem podróż do Siedlec, rozumie się nie koleją żelazną, bo jej jeszcze nie było. Trakt bity wprawdzie, lecz zasypany śniegiem po kolana, czynił podróż wcale nie powabną, śnieg bowiem był miękki, nieledwie lepki, i para koni, brnąc po brzuchy, z trudnością wyciągała sanie.

Znudzony i przeziębły, późnym wieczorem dojechałem do wioski bez dworu, z biednym kościółkiem i dziurawą karczma. Chcąc nie chcąc, trzeba było nocować. Ale gdzie, to wielkie pytanie. Trzymając się przysłowia, że droga na końcu języka, dopytałem się do miejscowego nauczyciela.

Człeczyna niepozorny, niski, na kabłąkowatych nogach, przyjął mnie przecież gościnnie, dał wypożyczek u siebie i nocleg niewykwintny, ale dość wygodny. Po skromnej wieczerzy, zawiązała się między nami gawędka o okolicy, o miejscowych stosunkach, o szkółce i jej wychowawcach.

—Panie dobrodzieju, prawil pocziwy wiejski pedagog, w moim nauczycielskim powołaniu największą się biędę z rachunkami. Niezłe to plemię tych moich wychowawców, zwłaszcza gdy się oczyści serca z domowych nałogów, lecz pojęcie nie wiem czym przytępione, szczególnie do rachunków.

Już to prawdę mówiąc, z pewną goryczą prawil dalej pedagog, wszyscyśmy tacy. Młodzi czy starzy, bogaci czy ubodzy, wszyscy ilu nas jest, nie lubimy rachować. Zkąd to pochodzi? czy rachunek przypomina nam szkolne mozoły; czy cyfry zamało dają pokarmu naszej bujnej wyobraźni; czy wreszcie rachunek wymaga pewnego skupienia, wytężenia myśli na jeden przedmiot, czy są inne powody, dość że od cyfry i rachunku stronimy najusilniej.

I uważ pan dobrodzieju, dodał z rosnącym zapałem, co z tego wynika? oto nieład w naszych interesach, nieład w domu i za domem. I tym nieładem wszyscy nas przesładują, a bięda domowa największą. Utyskiwanie na ciężkie czasy jest powszechne; lecz jak liczę z okładem pięćdziesiąt lat wieku, tak piosnkę o ciężkich czasach słyse od mojego dzieciństwa. Nie raz w wiejskiej samotności rozmyślałem nad tem, zkąd ta ciężkość pochodzi... I zgadnij pan dobrodzieju do jakiego rezultatu doszedłem; oto brak rachunku obciąża nas bardziej niż ołów. Pamiętam jak korzec żyta sprzedawano po złp. 4.; były to więc ciężkie czasy dla wieśniaków, i rozumiałem dlaczego się na nie skarżyli. Lecz jednocześnie ci co kupowali duży bochenek chleba po gr. 6. i po tej samej cenie funt

pięknego mięsa, także skarżyli się na ciężkie czasy. Tego to już, przyznam się panu, nie rozumiałem i nie rozumiem. Przecież jeśli dostawca, sprzedający swój produkt tanio, ma niekiedy słuszny powód na taniść tę narzekać, to nie pojmuję, jak może jednocześnie uskarżać się konsument, skoro tanio nabywa przedmiot rzeczywistej potrzeby.

Mnie się zdaje, ciągnął dalej, że nad naszą społecznością cięży kłątwa rachunkowa; nie powtórzę bowiem za innymi, że żyjemy nad skałę, bo tego nie widzę. Wydajemy wprawdzie wszystko, a to jest grzechem przeciwko oszczędności. Lecz z drugiej strony jak pogodzić oszczędność, przy szczupłym dochodzie, z wymaganiami epoki i stopniem cywilizacji? Oszczędność zależna jest od dochodu i nie można winować ubogiego że zamało oszczędza. Można wszakże zarzucić winę ubóstwa tam, gdzie ono w znaczniejszej części od nas samych pochodzi, od braku chęci i umiejętności do pracy. A więc mają za sobą słuszność zupełną ci, którzy nietyle zbytek, ile pewną o ciężkość, powiedzielibym nawet gnuśność nam zarzucają. Lecz nie o tem mowa; wracam do rachunku, który już w naszych dzieciach ma nieprzparty nieprzyjaciół.

W rachunku domowym są dwie konieczne rubryki, zwane w dawnym języku *percepta* i *ekspens*, to jest przychód i wydatek; są to dwie siostry rodzone, a przytem panie wszechwładne; od ich bowiem zgody między sobą spokój jednostek i społeczeństw zależy. Bo nie to nie znaczy, że my nie chcemy o nich wiedzieć, że ich w naszych regestrach nie notujemy:—wszystko to jedno, one są w naturze i konieczne nami władają. Otóż przypuśćmy chociaż jednoroczną tylko niezgodę ekspensy z perceptą, czyli wydatku z przychodem, a już jej skutki uczujemy przez lat kilka, uczujemy jak wizykatoryja, w postaci długu, wyciągnie z nas soki żywotne. Lecz weźmy wypadek odwrotny, to jest zgodę nierozwaną naszego domowego budżetu przychodów i wydatków; jakaż ztąd piękna harmonia w naszym pożyciu! Chociażby nie było remanentu, choćbyśmy wszystko wydawali co nam praca przynosi, byleby tylko nie było deficytu, już mamy spokój przynajmniej o tyle, o ile nie dotyka nas choroba, pozabawiająca możliwości pracy.

Lecz to jest dopiero punkt środkowy naszych rachunkowych rozmyślań. Idźmy dalej i dojdźmy chociaż do szczupłego w początkach remanentu. Wówczas świat dla nas przybiera inną barwę, odmłodniony nasz umysł nową nabiera siły; wyobraźnia do nowych zagrzewa wysileń, i ztąd to tworzą się fortunki i wielkie fortuny. Bo pieniądz ma tę własność, że przyciąga do siebie pieniądze.

Całą przeto, że tak powiem, podwaliną przyszłego majątku są pierwsze remanenta, początkowe oszczędności. Po uzyskaniu za ich pośrednictwem pierwszego kapitaliku, koniecznym jest nadanie mu pewnego przemysłowego obrotu, tak aby nie zmarniał przez samą bezczynność. Tu dopiero z całą siłą rozwinąć należy życie z rachunkiem, a pod tym względem dość dziwaczne międwamy pojęcia. I tak wieśniak, chociaż ma pieniądze, żałuje na furmankę, zrywa nogi idąc pieszo za ważnym i pilnym interesem, marnuje drogiego czasu dwa razy tyle, i przez to traci całą oszczędność na furmance zyskaną. Inny źle żywi inwentarz i zyskuje na tem oszczędność; lecz zato traci na szybkości i dokładności roboty, złym odbywaną pociągiem, a strata takowa przewyższa zysk z oszczędzonego obroku. Kto inny znowu zbytkiem nazywa kosztowne bo ulepszone narzędzia, a przecież traci na ustawicznej reparacji starych i niedogodnych, traci również z powodu stagnacji w robocie. Gospodyni na funty kupuje cukier, na kwarty lub półkwarty krupy i nabiął, bo żałuje wydatku na większe zakupy, lecz traci przez to na gatunku, miarze lub wadze, a nawet na cenie produktu.

Dalsze na tej drodze spostrzeżenia pouczają: że kapitalista pożyczka na wysoki procent i lokuje kapitał na niepewnej hipotece. Właściciel kamienicy łakomi się na wysokie komorne, chociaż nie ma pewności, czy lokator będzie w stanie takowe regularnie uiszczać. Kupiec podnosi cenę towaru i nie baczy na to, że zmniejsza przez to liczbę kupujących. Spekulant rzuca się na wiele od razu przedsięwzięć, niepomny że więcejby zyskał na należytych rozwoju jednego. Nabywca dopożycza pieniądze na kupno własności, i ludząc się pozorem wielkiego kupna, traci swój własny kapitał na opłatę procentów. Rzemieślnik niszczy się wyrabianiem przedmiotów zbyt-

kowych, kiedy mógłby zyskiwać na wyrobach przedmiotów mniej wykwintnych a więcej praktycznych. Oto są skutki fałszywego pojęcia oszczędności i zarobku... A przyczyną tego jest brak rachunku. Nie tylko bowiem przychody i wydatki mamy rachować: więcej jeszcze pod nazwą rachunku rozumieć należy. Życie z rachunkiem, jest to trzymać na wodzy nasze pragnienia i chęci, jest to poddawać gorączkę imaginy, zimnej rozwadze rozsądku, jest to wymierzać każde przedsięwzięcie miarą naszego worka, a nie tylko worka, ale i zdolności. Prosty tkacz ma wielkie przed sobą zadanie udoskonalenia swojego warsztatu, a dochodzi do tego uzdolnieniem i właściwą miarą środków materialnych. Jeśli zawczasem zamienił siłę swojej ręki, na siłę pary, to para go zgubi, para pomści zaniedbanie ręki. Szwec co zrobił chodaki, jeśli bez należytego przygotowania zapragnął w stolicy wyrabiać wykwintne kamasze, dozna gorzkiego zawodu. Kowal co zapragnął być ślusarzem, ekonom usiłujący być plenipotentem, tak dobrze wyjdą na zmianie swojego stanu, jak ów kruk w bajce Krasickiego.

Na tem skończył poczciwy nauczyciel, który, jak go podejrzewam, nagadawszy moralów ogółowi, może i mnie samego miał na myśli. Przejęty tem podejrzeniem, rzuciłem mimowolnie okiem na mój złoty zegarek z łańcuszkiem i brelokami. Nauka nie poszła w las. Kładąc się spać, rozważałem, że ten kosztowny sprawunek, na który niedawno wydatkowałem przeszło tysiąc złotych, nie przynosił mi, oprócz chwilowego upodobania, żadnej niemal korzyści, zwłaszcza że za piątą część tego mogłem nabyć skromniejszy zegarek, również dobry i użyteczny. Cały tok rozumowań nauczyciela uwidaczniał się w moim umyśle licznymi przykładami, i noc całą marzyłem o reformie ekonomicznej, podstawą której winno być...
Życie z rachunkiem.

Z. Morski.

Wspomnienia z powiatu Pińskiego.

Przez

Elizę Orzeszkową.*

(Dokończenie).

Kilka lat, to króciuchny zda się przeciąg czasu, to jedno mgnienie oka w ogromie wieków mijających nad światem; a jednak dla pokoleń lub jednostek pewnych, ta mała chwila bywa niekiedy całą epoką treści pełną.

Przed kilku laty bywały tu jesienią polowania huczne i długie; po szarych falach mgły płynęły akordy trąb myśliwskich; w ciemne gęstwiny lasów uciekały łosie ogromne i tuliły się stada spłoszonych sarn. Wówczas po domach kobiety zbierały się w ciche kółka, a gdy szaro i zimno było na Bożym świecie, zasiadały przy ognisku kominka, z igłą i książką w ręku, z serdeczną pogadanką na ustach. Niekiedy jedna z nich wybiegała przed dom na ganek, aby przez chwilę popatrzeć w mgliste obłoki i posłuchać dalekich odgłosów polowania; czasem z głębi domu akordy muzyczne, wywołane z fortepianu miękką dłońią kobietą, przedzierały się przez ściany i daleko na polach łączyły nutę miłosnej piosenki z dźwiękami pieśni myśliwskiej.

Było to przed kilku laty, jesienią. Pierwszy śnieg drobną mgłą na ziemię spadał; dzień się kończył, a szybko zstępował wczesny zmrok jesiennego wieczoru.

Między bezlistnym, ubielonym śnieżną zamiecią i schylającym się pod tchnieniem wiatru gajem, stał cichy i biały domek. Wewnątrz jego, w niezbyt obszernych pokojach, wygodne sprzęty zdawały się wchodzącego do spoczynku zapraszać, a szerokie bluszczowe gałęzie, wijąc się na szybach okien, zaglądały w zwierciadła i spływały na lśniące posadzki i barwne kobierce. Z poza bluszczowych zwojów i przezroczytych firanek, zmrok coraz ciemniejszy płynął w głąb pokojów, i cicho a uroczyście jakoś, było w tym domu białym, zadumanym u stóp drzew szumiących.

* Wezwani o to, objaśniamy, że opowiadanie powyższe odnosi się nie do samego powiatu pińskiego, lecz do całego obszaru noszącego niegdyś nazwę Polesia a mianowicie do powiatu kobryńskiego, oraz części powiatu pińskiego i brzeskiego.
(Przyp. redak.)

W pokoju małym, przytulnym, zamkniętym, płonął na kominku ogień żywy. Przed płomieniem wkoło stołu zarzuconego barwnymi tkankami robót, siedziały trzy kobiety. Lampa paliła się blado pod grubą zasłoną, a czerwony odblask kominkowego ognia chłonał całkiem jej drżący płomień.

Jedna z kobiet czytała, inne w zamyśleniu schyliły się nad robotami. Po chwili czytająca powstała, a przeszedłszy pokój, spojrzała w okno.

— Ciemno, smutno, mglisto, rzekła, raz jeszcze spojrzała na obłoki i na chylące się wierzchołki drzew i odszedłszy od okna, stanęła przed kominkiem.

— Nie zgodzę się na to, odparła inna, aby ta ziemia tak bardzo biędna i smutna być miała. Nie mamy wprawdzie wspaniałych piękności, których tak wiele innym krajom dała natura; ale niebrak i tu uroków przykuwających serce.

— Być może iż masz słusność, rzekła stojąca przy kominku, ale dziwnie utworzone jest to serce nasze. Pragnie ono zawsze tego, czego nie posiada, tęskni za oddalonym i do zdobycia trudnym, nie widzi szczęścia obok siebie, a goni za nim daleko. To też i nam tęskno do szafirowych niebios, gdy patrzymy w szare obłoki nasze; mając przed sobą mgłę i śnieżną zamieć, pragniemy pogody jasnej, pragniemy śpiwu słowików, słuchając szumów i poświstów wichru. A gdybyśmy osiągnęły cele naszych marzeń, może obok wszystkich cudnie dziś śnionych piękności, zatęsknilibyśmy znowu do naszych lasów i równin rodzinnych. O, czemuż serce człowieka zawsze tak pełne pragnień, czemu zawsze ściga marę szczęścia, a nigdy jej ująć nie zdoła?

— Dlatego tak się dzieje, moje panie, ozwał się przy drzwiach głos mężki, że ludzie nie rozumieją najczęściej ani życia, ani siebie.

Młode kobiety, zdziwione, zwróciły się w stronę mówiącego, a na środku pokoju, w blasku czerwonego płomienia, stanął młody człowiek, w akademickim ubraniu, z poważną twarzą i myślącym spojrzeniem.

— Pan Waclaw! zawołały kobiety. Czy już z polowania?

— Uprzedziłem powrót wszystkich myśliwych, bo chciałem wcześniej ujrzyć panie, odpowiedział, i podając na powitanie rękę obecnym, wzrokiem obiegał pokój, jakby jeszcze kogoś zobaczyć pragnął.

— Zajmujecie się panie poważną dysertacją, mówił siadając. Z przyległego pokoju słyszałem że mowa tu była o szczęściu i o tem, dlaczego człowiek nie może go nigdy w zupełności osiągnąć. Otóż moje zdanie w tym względzie jest takie, że gdyby ludzie głębiej wnikali w siebie, gdyby lepiej badali własną istotę i dokładniej poznawali warunki ziemskiego życia, szczęście nie byłoby cczą i nieujętą marą. Marzycielstwo i słabość woli są przyczyną większej części cierpień i zawodów naszych. Wyobraźnię wzbijamy się w światy niedoścignione, a gdy ujrzymy konieczną rzeczywistość, nie umiemy się z nią godzić, upadamy wśród zwątpienia.

— Jakoś bo pan bierze te rzeczy tak bardzo poważnie i na seryo, ozwała się jedna z kobiet.

— Bo inaczej, pani, niewolno pojmować kwestyj życia, odpowiedział młody człowiek, zwracając na nią poważne spojrzenie. Właśnie ta lekkość z jaką dotykamy spraw życiowych, jest jedną z przeszkód do osiągnięcia szczęścia. Idziemy omackiem tam, gdzieby nam całe możebne światło przyświecać powinno; przelotne tylko spojrzenie rzucamy na to, czemu by należało przez mikroskop się przyjrzyć. I cóż dziwnego, że w tej ślepej wędrówce omijamy wiele rzeczywistego dobra, ogniki błędne bierzemy za słońca, zamiast istoty chwytamy cień, zamiast prawdy — marę, i potem załamujemy ręce w rozpacz i wołamy że niema szczęścia na ziemi?

— Możesz więc pan twierdzić, że jest na ziemi istotne szczęście? spytała jedna z kobiet.

— Stanowczo twierdzę, z wyrazem wewnętrznego przekonania odpowiedział młody człowiek.

— Dlaczegoż więc tak mało jest na świecie szczęśliwych?

— Dlatego pani, że niewielu jest prawdziwie świątliwych i silnych. Mało jeszcze ludzi pojęło, że nie fatalizm przeznaczenia, ani ślepy traf wypadku rządzą losami człowieka. Otrząśnięcie się z przesądów krepujących rozwój umysłu, ujrzenie w rzeczywistości światła otaczającego świata, jasne pojęcie swego zadania, to podstawa na której wola silna gmach szczęścia ma budować. Ażeby zaś tę budowę wytrwale i gruntownie podnosić, trzeba nauczyć się nie tylko

zewewnętrzne przeszkody zwyciężać, ale i samym sobą, swymi wewnętrznymi zawładnąć burzami. Zdobyć tej władzy nad własną istotą nie może przyjsć bez pracy. Więc kto nie ugnie się pod brzemieniem, nie odwróci oka od celu i nie omdlowszy, zdrowy i silny przejdzie drogę trudną, — ten wola los podbije, zdobędzie czego pragnął i będzie szczęśliwy szczęściem jedynie godnym człowieka, bo zapracowanym, zdobytym rozumem i własną zasługą.

— Niechże i mnie wolno będzie należeć do poważnej rozmowy państwa, zabrzmiał znowu przy drzwiach, ale tym razem srebrny głos kobiety.

Młody człowiek szybko powstał i postąpił kilka kroków, a w cieniu półrozświeconym, drgającym blaskiem płomienia, zarysowała się wdzięczna postać kobiety, o bladłej twarzy i ciemnym oku.

— Słyszac państwa rozmawiających, mówiła, sądziłam że prześwietny areopag grecki zasiadł w tym pokoju, tak poważnymi mówiliście głosami, a pan Waclaw perorował jak z profesorskiej katedry, z której przyjdzie mu zapewne mówić w przyszłości. O czemże to państwo rozprawiali?

— Dziękuję za przepowiednię katedry, z ukłonem i uśmiechem odrzekł akademik. Mówiliśmy o szczęściu.

— O szczęściu, powtórzyła nowoprzybyła, podnosząc rękę do czoła. Śliczny przedmiot rozmowy! Szkoda tylko że tak różne są pojęcia ludzi o szczęściu, iż nikt o niem nic trafnego nie powiedział nigdy.

— A właśnie, Gabryelo, rzekła jedna z rozmawiających przed chwilą, pan Waclaw był w zapale uczenia nas drogi do szczęścia, które według jego zdania leży w jasnym poglądzie na rzeczy i w silnej woli.

— Najzupełniej zgadzam się ze zdaniem pana Waclawa, poważnie odpowiedziała Gabryela, iż zdrowa myśl, męstwo i wola są najpewniejszymi drogami do szczęścia, a przynajmniej w razie nieosiągnięcia go, źródłem pociechy i rekojmią spokoju. Ale ja mówiłam o samej istocie szczęścia, że ona przez każdego inaczej jest pojmowaną i że nikt jej nigdy nie określił tak, aby zaspokajała potrzeby i pragnienia wszystkich. W poetycznych mytach ubiegłych wieków, ludzie przedstawiali sobie wieszczki, boginie, kryształowych pałaców mieszkanki, które niekiedy z górnych wyżyn swoich zstępowały ku ludziom, zapytywały ich o najtajniejsze pragnienia i według żądań, rozdawały szczęście. Gdyby bajka mogła się stać rzeczywistością, gdyby podobna wieszczka stanęła przed nami, ciekawam jakie życzenia wyraziłibyśmy tu wszyscy przed nią.

— O, najciekawsze byłyby twoje życzenia, Gabryelo, zawołała jedna z kobiet. Ty masz wyobraźnię tak żywą, że musisz niezawodnie bujać fantazją w zaczerpniętych, niepodobnych do osiągnięcia światach. Tybys pewnie chciała, aby się w tobie zakochał jaki bohater cudny, piękny jak Apollo, mądry jak Salomon, waleczny jak starożytny Achilles.

— Albo, mówiła inna, jak ów król biblijny zawołałabyś: mądrości tylko, conajwięcej mądrości.

— Albo, dorzuciła trzecia, zapragnęłabyś sukni tkanej z promieni słonecznych i wieńca uplecionego z gwiazd.

Kobieta do której zwrócone były wszystkie te słowa, milczała; wpatrzyła się w płomień czerwony, a w bladą i zamyśloną jej twarz gorącym spojrzeniem patrzył Waclaw. Cisza zaległa na chwilę pokój, tylko z za okien dochodził poważny szum wiatru, jakby podniebne myśli niosąc do cichego domu, i ogień trzaskał na kominku, lejąc na twarze siedzących purpurowe odblaski.

— Mylicie się, rzekła wreszcie Gabryela, podnosząc zamyślony wzrok na towarzyszki. Pragnienia o jakie mnie posadzacie, byłyby marzycielstwem i wybujałą, nieokiełznaną rozumem fantazją; a z tych myślących i silny człowiek otrząsnąć się powinien. Choć ja jestem kobietą, a dotąd kobietom przyznawano wyłączny, smutny zaprawdę przywilej marzycielstwa i słabości, uznałam że zdrowa myśl i energia są niezbędnie potrzebne do ucziwego i użytecznego przejścia ziemskiej drogi, — i ukochałam te dwie cechy prawdziwego człowieka. To też, pomimo że wyobraźnia moja zdolna jest wysnuwać żywe i barwne obrazy, pomimo że czuję iż mi w piersi bije młode a gorące serce, toć jednak nie daję panowania nad sobą ani łzawej sentymentalności, ani wybujałej fantazyi. Nie oczekuję, jak mówicie, Apollinów, Salomonów ani Achillesów; nie samej tylko mądrości pragnę i nie chcę sukni tkanej z promieni słonecznych. Gdyby

wieszczka czarodziejska stanęła przedemną, — co bym jej rzekła, słuchajcie. W pięknym zakątku rodzinnego kraju, między zielonemi wzgórzami, nad brzegiem przezroczyściej wody, chcę mieć dom cichy i biały. Do tego domu wejść z człowiekiem którego wybiorę i ukocham, który będzie miał w oku promień młodości i siły, w sercu miłość i mięztwo, w umyśle światło mądrości. Wtedy wśród woni śnieżnych kwiatów, co u okien mojego domu zakwitną, wśród miłości i pracy wspólnej, dnie snuć się nam zaczęją, jak nić o barwach tęczy. Co rano obudzę się z myślą rozkoszną, że obok mnie jest człowiek kochający i ukochany, na którego opiece mężkiej wesprzeć się mogę ze słodką ufnością, którego myśli mądrzejsze mogę uwierzyć bez granic. Co wieczór, po całodziennym pracy, kołysać mu będę duszę tonami mojej muzyki, a pieśni miłości wybiegną po za ściany naszego domu i powitawszy kwiaty ogrodu, popłyną w dal z falami rzeki. Wśród trudów codziennego życia pomagać sobie będziemy wzajem i piąć się razem, coraz wyżej, ku prawdzie i światłu, wzajemnie wołając na siebie, aby w drodze nie stanąć. Jeżeli ciężki ból jaki, nieodłączny od ziemskiego istnienia, wpłynie się w pasmo dni naszych, spotkamy go z odwagą i mądrą myślą zaradczą, mężnie przetrwamy ciemne chwile, a tło życia zostanie nam pogodne, jak niebo po burzy. W ścianach naszego domu nie będzie nigdy tłumów gwałnych; wybranym tylko podały dłonie przyjaźni. Potem... potem... u łóżka mojego, w miękkiej kolébce, uśmiechnie się dziecię. Nad niem roztoczę całą tęczę macierzyńskich nadziei, w jego przyszłość wleję marzenia najdroższe. Nad kolébką mojego syna śpiewać będę pieśni wysnute z serca i codzień zakolyszę go do snu akordami matczynej głosu. Potem wleję mu w serce miłość dla ludzi, dla prawdy, dla piękna, myśl jego zwrócę ku światłu. Syn mój wzrośnie, pójdzie w świat, ludzie pochylą przed nim głowy i rzekną: oto człowiek! A ja w starości, dumna i wspaniała macierzyństwem i powagą, jak w młodości byłam piękną wdziękami i miłością, stanę u kresu istnienia, spokojnym spojrzeniem przebiegnę czystą przeszłość moją — i skończy się mój żywot cicho i promiennie, jak promiennie i cicho zachodzi tarcza słoneczna za różany obłok zachodu.

Zaledwie skończyła mówić Gabriela, gdy jakby przez umyślną sprzeczność z cichym marzeniem kobiety, na dziedzińcu ozwały się tłumne głosy, szczerkanie psów, turkot kół i oderwane dźwięki trąbki myśliwskiej.

— Myśliwi wracają! zawołała jedna z kobiet, i wszystkie powstawszy wybiegły, aby powitać przybyłych.

Przed dogorywającym ogniem kominka sam jeden został młody człowiek. Kilka chwil wpatrywał się w czerwony płomień, jakby nie mogąc oderwać myśli od obrazu białego domu, wysnutego w wyobraźni kobiecej; nareszcie wyszedł także, a w cichym pokoju gasł ogień i gasła lampa i z za okien dochodziły szumiące w przeróżnych spadach głosy wiatru.

A w pustym dotąd salonie brzmiał zamęt licznych głosów i przechadzały się postacie różne. Na stołach pod światłem lamp leżały dzienniki i książki; u okien, osrebrzone promieniem światła, wily się gęste sploty bluszczowe; służba roznosiła potrzebne po całodziennym polowaniu napoje; ciche głosy kobiece łączyły się z dźwiękami głośniejszej rozmowy mężczyzn; wszystkie twarze jaśniały weselem i swobodą, usta otwierały się śmiechem i serdeczną pogadanką.

Kilku mężczyzn, w myśliwskich ubraniach, prowadziło głośnie rozmowę o odbytym polowaniu.

— Sześć sarn i cztery łosie ubiliśmy! wołał najzapaleńszy z myśliwych. Grackośmy się popisali, panowie!

— Co to znaczy, mówił z wyższością inny. Sam byłem świadkiem jak jednego dnia ubito dwadzieścia sarn i tyleż łosów.

— A to było polowanie do ewangelicznego cudownego połowu ryb podobne, zaśmiał się trzeci.

I dalej opowiadali sobie zwolennicy myśliwstwa o trofeach swoich przeszłych wypraw, a im zwiawiej rozprawiali, tém zwiększała się liczba ofiar, coraz bardziej zbliżając się do cudownego połowu ryb. Każdy chwalił się z częms innym i chciał najdziwniejszy i najpotężniejszy w swoim rodzaju fakt opowiedzieć. Chwalili się i przechwalali myśliwi, podobni w tém do ludzi wszystkich zawodów; bo i któż nie chce trofeów swoich w najjaśniejszym przedstawić świetle?

Kobiety, ujawszy się za ręce, chodziły po salonie, w towarzystwie kilku mężczyzn.

We framudze okna, między zielenią wazonowych roślin, usunięta nieco od gwaru zalęzającego salon, stała Gabriela; czoła jej dotykała śnieżna firanka, a gałęzie bluszczowe splatały się z warkoczami. Naprzeciw niej stał Waclaw.

— Rozmawialiśmy przed chwilą o szczęściu, mówiła kobieta, a pan nie powiedział nam, jakiego szczęścia pragniesz.

— Moje pragnienia i nadzieje, odpowiedział młody człowiek, niezupełnie podobne są do tych, jakieś pani wyraziła. Jam mężczyzna — dla mnie trzeba szerokiego pola działania i czynu. Pragnę światła i wiedzy, aby niem rozświecać umysły ludzi. Pragnę posiadać conajwięcej siły wewnętrznej i hartu, aby nie zachwiać się nigdy na drodze życia. Światło to i tę siłę muszę mieć, mieć będę, i wtedy gdy wiele dobrego uczynię dla ludzi i gdy mi sumienie powie, żeż użyteczny na świecie, prawy i rozumny, — wtedy... nazwę się szczęśliwym.

Oczy mówiącego błyskały zapałem.

— I niczego więcej pan nie zapragniesz nigdy? zapytała Gabriela.

Spojrzał w jej twarz młody człowiek i odpowiedział: — Kiedy uszlachetniony pracą, czynem, stanę się godnym nazwy prawdziwego człowieka, wtedy, jako nagrody trudów przebytych, ozdoby życia i zachęty do prac przyszłych, zapragnę — zapragnę białego domku wyśnionego przez panią i w nim kobiety z piękną twarzą, a piękniejszą jeszcze duszą... kobiety do pani podobnej...

Żywy rumieniec zalał twarz Gabrieli, spuściła wzrok i po chwili spytała:

— Pan jutro opuszcza naszą okolicę?

— Tak pani, czas mi w drogę, do pracy.

Kobieta zerwała kwitnącą w wazonie drobną, białą różę.

— Weź pan ten kwiat, rzekła, niech on w dalekich stronach przypomina panu zacisze nasze i... kobietę, która często o panu myśleć będzie.

Wziął różę Waclaw i przez chwilę drobną rękę zatrzymał w swojej dłoni.

Tylko zielone liście bluszczu spadające na czoła młodych ludzi słyszały ich cichą rozmowę; z za mgły nocnej, przez szyby okien, błyszczące gwiazdy na nich patrzyły, a oni, nie widząc gwiazd niebieskich, ni głosów ludzkich nie słysząc, wpatrzyli się w siebie spojrzeniem, w którym gorące pałały iskry.

Noc już była głęboka, kiedy umilkł gwar w domu i w oknach pogasły światła. W około rozkładała się ubielona już pierwszym śniegiem ziemia, mgła zniknęła w objęciu lekkiego mrozu, na niebie błyszczały gwiazd myriady. Wśród ciszy z dalekich grobel długo dolatywał odgłos kół odjeżdżających, a ponad domem wysokie topole, schylając się ku sobie, szumiały tajemniczym nocnym szeptem.

PIÉRWSZA PACYENTKA.

Kartki z powieści p. n. „Poniewczasie“

przez

Władysława S.

(Dalszy ciąg).

Ludwik zatrzymał się także przed kościołem, pragnąc zrobić jeszcze jedną obserwacją rumieńców swjej piérwszej pacjentki, — czy wyłącznie patologiczną? — wątpimy.

— Doktorzy mówią, odezwał się głos jakiś za jego plecami, że serce i żołądek, to dwa organa zupełnie równej ważności w układzie ciała. Czy to prawda, konsyliarzu?...

Nasz bohater obejrzał się i poznał Dominika Wrzawę.

— Nieprawda, — odpowiedział szybko.

— O! nie potrzebujesz zaprzeczać, panie Groński, odrzekł śmiejąc się Dominik. Myśmy już i bez tego w kościele spostrzegli, że do liczby tego rodzaju fizjologów nie należysz.

— Jako?... zapytał Ludwik.

— Ho! ho!... co tu ukrywać? Znamy się na tém i cieszymy się nawet, że przybyły z miast wielkich, sąd nasz parafiański potwierdza.

— Nie rozumiem cię, panie Dominiku.

— Mniejsza, odrzekł wesoło Wrzawa; nie rywal mówi do pana, a więc przyjmij od niego małą uwagę.

Tu Dominik pochylił się do ucha Ludwika i rzekł niby półgłosem, lecz rzeczywiście tak głośno, że pół Pilicy dobrze słyszeć go mogło:

— W małym mieście, kiedy się patrzy, to się jest także widzianym, i przez tych na których się patrzy, i przez wszystkich dokoła. Do zobaczenia, kochany konsyliarzu.

Dominik oddalił się szybko, ale w tej samej prawie chwili przystąpił do Ludwika Józef Kitycki.

— Doktorze, jeśli łaska, wstąpmy do cukierni na kieliszek likieru.

— Nie piję, odpowiedział Ludwik.

— Wiem, rzekł bilardzista. Jest jednak toast, którego nie zechcesz odmówić.

— Jakiż to? spytał prawdziwie zaciekawiony doktor.

Kitycki przybrał minę uroczystą i robiąc ręką gest, jakby wznosił w górę kieliszek, rzekł:

— Za powodzenie pocztalteryi pilickiej!

— W istocie, odrzekł Ludwik, nie mam powodu życzyć źle pocztalterowi, którego zresztą nie znam i nigdy w życiu nie widziałem...

— We własnej osobie, może być, lecz nie w osobie jego jedynaczki, powiedział odchodząc Kitycki.

Ludwik przez chwilę pozostał sam.

— A! doprawdy nie wiedziałem co to są małe miasteczka, rzekł do siebie; a toż to prawdziwe latarnie!

W tej chwili Erazm Dumski chwycił go za rękę, wołając:

— Nareszcie, nareszcie... doczekałeś się, kochany doktorze. Patrz. oto oni!

— Kto taki?

— No któż?... pocztalter Dzicz i jego córka Marynia, — ot tam. Adaś Skir idzie z niemi... Ale co ja wskazuję. Konsyliarzu wprzód odemnie widziałeś.

Ludwik w istocie jednocześnie, jeśli nawet nie wprzód, spostrzegł swoją piękną pacjentkę.

Na świeżem jesiennym powietrzu rumieniec chorobliwy znikł; twarz była biała, ale wesoła i zdrowa.

— Daj Boże żebym się pomylił, mówił młody medyk do siebie.

Marynia z ojcem i Adaś przeszli blisko niego; Adaś jednak udawał, że nie spostrzegł doktora, lubo w chwili wychodzenia z kościoła oczy jego spotkały się z oczyma Ludwika. Rozmawiał żywo z pocztalterówną, jakby się bał być zaczepionym. Zato Marynia, mimowolnie zapewne, spojrzała w stronę nieznanego i w cofnięciu swego spojrzenia nie okazała wcale nienaturalnego pośpiechu.

Gdy przeszli, Ludwik się odwrócił, pragnąc coś odpowiedzieć Dumskiemu; ale Erazm już był daleko, o kilkadziesiąt kroków, w grupie mężczyzn rozmawiających wesoło i spoglądających w stronę doktora, a nawet z parafiańską dobroduszością palcami go sobie wskazujących.

Tak poraz piérwszy bohater nasz doświadczył, co to znaczy ogień krzyżowy małomiasteczkowych języków. Szkoda jednak, że zajęty ważniejszymi myślami, nie miał czasu z tego doświadczenia korzystać i wkrótce o tym całym ataku zapomniał.

Ważne-bo myśli rzeczywiście tłoczyły się w głowie doktora.

Komuż nieznanie są trudności położenia, w jakich nieraz, a nawet często, znajdują się lekarze? Każdy jednakże przyzna, że położenie Ludwika było daleko przykrzejszem od wielu innych podobnych, z których zazwyczaj doświadczeni uczniowie Eskulapa z tak zręczną delikatnością wywinąć się umieją, a to dlatego, że jako doktor nasz bohater był bardzo młody. Trudność jaka mu się nastęrczała była piérwszą w jego praktyce i przerażała go tém bardziej, że w sprawę poważnego doktora Grońskiego, mieszał się najniepotrzebniej w świecie oczarowany i rozmazany student Ludwik i wszystkie lekarzowi psuł szyki. Doktor naprzykład mówił, że dosyć pozostaje czasu aby działać powoli, bo niebezpieczeństwo, chociaż widoczne, jest jednak dalekie; student protestował i zaklinał się, że nie pozwoli na jedną chwilę zwłoki, bo właśnie zwłoka wszystko popsuc może, albowiem środki zaradcze, a raczej zapobiegawcze, tém są w podobnych razach pewniejsze, im szybsze.

Ta walka doktora ze studentem, rozumu z uczuciem, rozsądku, z zapałem, ostrożności z obawą,

trwała już w duszy Ludwika godzin parę, gdy nareszcie strony walczące się spostrzegły, że walczyć nie było o co, bo jedna tylko pozostawała droga ku wyjściu z trudności, i to niestety, droga powolna, ostrożna i trudna. Student więc musiał przystać na to, że doktor postępować będzie tą drogą, lecz postanowił sobie popędzać go po niej, choćby Eskulapowi padać ze znużenia i nogi pokalęczyć przyszło.

Jakoż w istocie, sytuacja w jakiej się znajdował nasz bohater miała tylko jedno rozwiązanie, po którym wszędzie przedstawiały się niepodobiestwa; było bowiem oczywiste, że Ludwik nie mógł pójść do ojca i powiedzieć mu: „postępuj tak, rób tak, strzeż córki swą od tego, skłaniaj do tamtego, bo inaczej zapadnie w suchoty“, gdyż przeraziłoby to starca zbyt znacznie; nie mógł także wyznać Maryni, jak straszny rios jej grozi, bo właśnie sama jej świadomość o tym, nietylko żeby całe życie jej zatrula, ale nadto sparaliżowałyby zapewne działalność wszystkich zaradczych środków i przepisów.

Trzeba więc było starać się wprowadzić pocztalterównę, bez wiedzy jej samej i jej ojca, w tryb życia odpowiedni; strzedz ją w sposób taki, którego by się ani ona, ani jej ojciec domyśleć nie mógł, od każdego zgubnego wpływu; trzeba było, jednem słowem, czuwać nad nią samemu, albo wszczepić w jej ojca, pod jakimibądź pozorami, przekonanie, że tak a nie inaczej pielegnować dziecko swoje powinien.

Nie było to wyraźne niepodobiestwo? Dla doktora Grońskiego może, lecz nie dla studenta Ludwika. Bohater nasz obrał tę drogę i postanowił plan swój zaraz tego samego dnia zacząć wprowadzać w wykonanie.

Pierwszym krokiem naturalnie, było poznać pocztaltera, zbadać czy cała zrzeczność, cały wpływ jaki nad nim osiągnąć będzie można, okazać się dostatecznymi do nakłonienia go mimowiednie, aby przestrzegał pewnych przepisów higienicznych w życiu córki.

Nie wątpiąc bynajmniej, że się to uda, około trzeciej godziny po południu doktor ubrał się z większą jak zazwyczaj starannością i wyszedł w stronę pocztaltery.

Tymczasem Adaś Skir, odprowadziwszy Marynię i jej ojca do domu, wrócił do siebie, nadąsany i zły.

— Widzicie go, Warszawiaku, i on też, mówił do siebie. Człowiek chwilkę spokojności niema.

Chodził wielkimi krokami po pokoju, mrużąc i z gniewem na bok odrzucając stolki. Nareszcie stanął przed lustrem, spojrzął w nie i widocznie niezadowolony z przeglądu swojej fizygnomii, ciskając w zwierciadło chustką od nosa, którą trzymał w ręku, zawołał:

— Bodaj to lichu wzięło! dlaczego ja taki młody?

Potem usiadł za stołem, podparł głowę obiema rękami i dumiał:

— Mnie jakaś Nemezys prześladowuje... ba! lichu wie czy to *jakaś* Nemezys, czy *jakiś* Nemezys?... A może to był znowu jakiś ćwierćbożek aptekarzy albo golibrodów?... Eh! nie; czytałem przecież w jakiejś powieści Korzeniowskiego, że Nemezys była boginią. Ale czy tylko pewno?... Ba! pal ją sę! *ten* Nemezys, czy *ta* Nemezys, wszystko mi jedno, dość że mnie prześladowuje. Policzymy tylko proszę.

Tu zaczął liczyć na palcach.

— *Primo*, urodziłem się najmnij o pięć lat zapóźno. Ba! żeby był tylko o jakie pięć lat starszy, nauczyłbym ja zaraz tego świszczypałkę!... *Secundo*... *ditto*... toż samo co *primo*; wszystko się w tym snuje, że jestem zamłody! I co ja, proszę państwa, na ten powód wszystkiego złego poradzić mogę, nie-szczęśliwy? Muszę albo oszaleć, albo satyrę na doktora skomponować.

To powiedziawszy, zaczął coś pisać.

Wiesz pilicki irytował się tak okropnie, bo i on widział w kościele zajęcie, jakie w Warszawiaku wzbudziła córka pocztaltera, a że był sam zakochany w Maryni, więc niedziw że młodemu medykowi nie zyczył powodzenia.

Nie było w tym bynajmniej nic osobliwego, że dziesiętnastoletni rymotwórca za przedmiot pierwszych swoich zapalów obrał pocztalterównę, wszystka bowiem, co do jednego, młodzież urzędnicza pilicka kochała się na zabój w córce pana Diczca. Tylko, jak to zwyczajnie urzędnicy, i to jeszcze małowiatczkowi: każdy miał serce do kochania skore, ale e-tat do żeniaczki zamały, więc rywalizowali ze sobą

w najlepszej komitywie, wiedząc że jeden drugiemu panny z przed nosa nie porwie. Chybaby który wygrał wielki los na loteryi klasycznej, co się zresztą, jak Pilica Pilicą, jeszcze w tym mieście nie przytrafiło.

Zupełnie co innego było z Warszawiakiem. Doktor, jedyny syn matki mającej kamienię w Warszawie, człowiek którego stać było na utrzymanie z własnych zasobów przez pięć lat pobytu na uniwersytecie; a toż to może żenić się chociażby dzisiaj, nie czekając kaprysów fortuny, nie biorąc piątek ani półłósów u Moszka, na intencją pięknej Maryni. Był to więc rywal niebezpieczny i dlatego młodzież pilicka tak bacznie śledziła każde spojrzenie młodego lekarza i tak niemiłosiernie go prześladowała, gdy dostrzegła, że jej obawy nie były bynajmniej płonnymi.

Po kilku chwilach Adaś zerwał się zapierzony i podarł to co napisał.

— Ani rusz, żeby choć jedna porządna końcówka!... Ten dzieciak Adaś już dziś nawet do głupiej satyry nie zdolny!

Uspokoił się nieco, ale wkrótce mówił znowu:

— Jednak radzić na to potrzeba, tylko niech mi kto powie jak?... Gdybym zreformował kalendarz, ot tak na systemat dziesiętny, żeby rok miał tylko dziesięć miesięcy, tobym miał już niezadługo dwadzieścia trzy lata, a ten przeklęty Eskulap przeszło trzydzieści.... Ja byłbym właśnie w sam raz, a on byłby już zastary. Ale jak się do tego wziąć?...

Zbliżył się do okna, z kądem było widać pocztaltery, i spoglądając na mieszkanie swojej bogdanki, zawołał:

— Maryniu moja! o! ty wiesz ile ja cier.....

Ale nim dokończył tego wyrazu rozpaczy, inny widok uderzył go tak mocno i niespodziewanie, że przerwał sobie i wykrzyknął:

— A to co?... *monsieur* Eskulap idzie w tę stronę! Gdzież to?... niezawodnie na pocztę!... Oho bratku, poczekaj! nie puszczaj ja cię tam samego.

I w mgnieniu oka, porwawszy palto, jak strzała wybiegł na ulicę.

Za chwilę, dościgając Ludwika, zawołał:

— A gdzie to tak pan konsyliarz? na pocztę? z listem pewno?... To nie z tej strony, dodał wskazując, tylko do tamtego okna.

— Oho! i ten już! — pomyślał Ludwik, obejrawszy się i poznając więszoroba. Nie trzeba mu się przyznawać, bo gotów jaki epigramat napisać.

I odpowiedział młodemu wieszczowi:

— A! to pan, panie poeto. Dobrze żeśmy się spotkali, pójdziemy w jedną stronę i pogadamy.

— Patrzajcie jaki lis! — mówił w duchu Adaś, tai się przedemną. Ale poczekaj! Adaś, to twardy orzech do zgryzienia. Nie trzeba żeby wszedł sam; lepiej będzie jak ja go wprowadzę, boć nie mogę mu przecie zakazać tam iść.

I w tej myśli rzekł do doktora:

— O! nie masz pan potrzeby zmieniać swoich zamiarów dla mnie. Ja właśnie szedłem do pocztaltera. Urząd pański, dodał naciskając na ten wyraz, każe mu zaznajomić się z mieszkańcami naszej brudno-liciej Pilicy, więc chodźmy razem. Jestem u Diczców jak w domu, więc dopomogę panu do zabrania z niemi znajomości, jeśli ona dla pana nie jest nieprzyjemną.

Ostatnie słowa również wymówił Adaś z przekąsem. Ludwik nie opierał się bardzo.

— Ha! jeśli tak, to dobrze, skorzystam z pańskiego pośrednictwa.

Poszli.

Pan Jan Dicz, pocztalter pilicki, był to urzędnik starej daty, urzędnik całą duszą, formalista z klasycznych czasów biurokracji, a co do charakteru człowieka poczciwy z kośćmi, jak to mówią u nas, opierając się zapewne na tym, że ludzie kościści nie są zazwyczaj nazbyt potulnego i dobrodusznego usposobienia. W tych dwóch cechach, najdobroduszniej pocziwości i posuniętego do pedanterii zamilowania form biurokratycznych, stręczała się cała charakterystyka zacnego emeryta, o którym mnóstwo ciekawych podań między młodą generacją urzędniczą Pilicy i całego olkuskiego powiatu krążyło (*).

(*) Pisując w r. 1861 w piśmie „Pszczola“ artykuły oznaczone znakiem ∞, podałem w krótkości charakterystykę pocztaltera, zdjętą z natury; o czém, aby mnie o plagiat nie posądzono, wspomnieć tu uważam za potrzebne. (Przyp. autora).

Zmuszony, z powodu nadwątlonego zdrowia, opuścić swą posadę w powiecie, poza obręb którego podobno nigdy w życiu nie wyrzął, pan Jan Dicz umiał stworzyć sobie żywioł, który z wielkim żalem porzucił, w nabytej ze skromnych oszczędności całego życia pocztaltery pilickiej. Wchodząc w nowy przybytek swjej oficjalnej działalności, pan Jan Dicz uważał się za postawionego na czele oddzielnej administracji, jakkolwiek cały skład urzędników tego nowego biura stanowił jeden tylko pisarz pocztowy, miernie obznajmiony z kaligrafją i o mysterych pisowni polskiej bardzo ograniczone mający pojęcie. Pan Jan podzielił to nowe swoje biuro na wydziały, stosownie do gałęzi na jakie dzieliła się służba. Była więc tam kancelarya, czyli wydział korespondencyj, ekspedycyjący około stu numerów rocznie; był wydział ekspedycyji poczt rządowych; osobna ekspedycya ekstrapoczt i sztafet; oddzielna sekcyja dzienników i gazet, których około dziesięciu egzemplarzy prenumerowało w ogóle całe miasto i okolica; osobny wydział przyjmowania i wydawania listów; dalej kassa; dalej jeszcze biuro zakupu i kontroli furazów, służba zdrowia koni, archiwum i Bóg wie co jeszcze.

Wszystkie te wydziały, ekspedycye, sekcyje i biura mieściły się razem w jednym pokoju narożnym, mającym ledwie dwa okna, jedno od wschodu, drugie od południa. Pan Jan potrafił jednak wszystko tak urządzić, że każdy wydział był wyraźnie odgraniczonym od innych, że każdy miał swoją półkę w szafie, albo szufladę w biurku, a przynajmniej przegródkę na półce albo w szufladzie. Organizacyja tego miniaturowego zarządu pocztaltery pilickiej była prawdziwem arcydziełem mikroskopijnej systematyczności.

Wydział przyjmowania i wydawania listów był najciekawiej urządzonym. Tej ważnej gałęzi służbowej pan Jan Dicz poświęcił oba okna, urządzając w nich małe lufciki i umieszczając napisy na oknie wschodniem: *Tu przyjmują się listy*, a na południowem: *Tu wydają się listy*.

Zdarzało się że posłaniec nie umiejący czytać, puknął do południowego okna. Wtedy pan Jan, który godziny służbowe najskrupulatniej w swoim zarządzie przepędzał, otwierał lufcik i pytał:

— Po listy? a od kogo to? *ad rem*.

Ad rem (do rzeczy), było to przysłowie pocztaltera. — Ja proszę pana przyniosłem list, odpowiedział posłaniec.

— *Ad rem*, to do drugiego okna, mówił pocztalter, zamykając szybko lufcik i przechodząc na drugą stronę, gdzie dopiero przyjmował przyniesione ekspedycye.

Po opłaceniu porta, pan Dicz chciał zamknąć lufcik, ale posłaniec pytał:

— A proszę pana, czy niema listów do nas?

— To do tamtego okna.

I znow pan Dicz powracał do południowego lufcika, pytając.

— Po listy? *ad rem*, a od kogo to?

— Od sędziego N..., odpowiadano.

— *Ad rem*, niema żadnego, mówił pocztalter, który znał doskonale posłańca i wiedział na pamięć, że żadnego listu do sędziego N... nie było.

Rozumię się że przy takiej pedanterii, pan Jan Dicz miał w swym zarządzie niezmiernie wiele do roboty, wydawał dość pieniędzy na papier i pióra, a niezbyt wiele zostawało mu czasu na dozór służby i koni. Szczęściem że pisarz znał się lepiej na tym wydziale, niż na wszystkich innych przez pocztaltera kreowanych, a że był chłopcem sumiennym i kochającym swego pryncypała, więc pocztalteryja i pod tym względem, podrzędny dla pana Diczca, ale głównym dla podrózných, nie pozostawiała do życzenia.

Zdarzyło się raz, na parę lat przed przyjazdem naszego bohatera do Pilicy, że zarząd pocztalteryji zaszedł w straszny kontrowers z magistratem. Burmistrz utrzymywał, że pocztalteryja nie ma prawa użytkować z niewielkiego kawałka gruntu miejskiego, przyległego jej zabudowaniom; pocztalter zaś dowodził, że jak pocztalteryja pilicka pocztalteryja, zawsze na tym kawałku ziemi kuto konie pocztowe *ad rem*, i składano gnój do znajdujacego się tamże dołu, którego starożytność sama o dawności praw pocztalterskich świadczyła.

(Dalszy ciąg nastąpi).